POLSKOJĘZYCZNE SZKOLNICTWO 1988-1996 Z HISTORII WODOCIĄGÓW GRODZIEŃSKICH

Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydawany na uchodźstwie od roku 2005

MAGAZYN POLSKI

NR 2 (122) LUTY 2016



POSPIESZALSCY W GRODNIE

Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydawany na uchodźstwie od roku 2005

MAGAZYN POLSKI

NR 2 (122) LUTY 2016



Wyprawa do okolic Pińska

Nasz Autor Maurycy Frąckowiak opisuje swoje wrażenia z fascynującej podróży do Janowa Poleskiego, Ludwinowa, Zakoziela

22



Kopernik w Wilnie

Po drodze do Wilna młody Kopernik ze swoim wujem biskupem Łukaszem Watzenrodem zanocowali na Starym Zamku w Grodnie

25

Na pierwszej stronie okładki: Rodzina Pospieszalskich podczas koncertu w Grodnie

Na ostatniej stronie okładki: Delegacja Urzędu Miasta Sopotu uczciła pamięć AK-owców przy Krzyżu Pamięci w Starych Wasiliszkach.
Fot. Irena Waluś

REDAKTOR NACZELNA:
Irena WALUŚ
i.walus@op.pl
tel. +375 29 949-35-09

KOREKTA:
Danuta KARPOWICZ
SKŁAD I ŁAMANIE:
Alaksiej SALEJ

OKŁADKA: MAGAZYN POLSKI NA UCHODŹSTWIE

WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

PRENUMERATA POLSKA:
Fundacja Wolność i Demokracja,
Al. Ujazdowskie 37 lok. 2
00-540 Warszawa; tel. (22) 628-85-05

MAGAZYN POLSKI jest ogólnokrajowym miesięcznikiem Społecznego Zjednoczenia «Związek Polaków na Białorusi». Założony w roku 1992, od roku 2005 jest wydawany na uchodźstwie.

Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania «Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2015r.»

Książki niezastąpionym źródłem wiedzy



IRENA WALUŚ
REDAKTOR NACZELNA
«MAGAZYNU POLSKIEGO NA UCHODŹSTWIE»

Bardzo szanuję tych gości, którzy, odwiedzając mnie, w pierwszej kolejności zwracają uwagę na księgozbiór. Gdy go chwalą, znajdują dla siebie interesujące książki, jestem z tego bardzo dumna. Książki są częścią mojego życia, bo skoro piszę – to i czytam. Wiele książek z mojej biblioteki ma swoje historie, dedykacje autorów czy jest prezentem…

Jeszcze do niedawna biblioteki domowe były w większości domów. Dzisiaj już są takie, w których nie ma książek – ich właściciele uważają książki za przeżytek, ponieważ wszystko mają w Internecie. Ale to głębszy problem.

Intelektualiści z różnych krajach alarmują, że społeczeństwo coraz mniej czyta książki. Co gorsza, znaczna jego część uważa, że nie ma po co to robić, skoro niezbędne informacje czerpie z szeroko pojętego Internetu i telewizji. W opinii pedagogów, ludzi kultury, socjologów, psychologów ten fakt jest zatrważający, ponieważ człowiek, wychowany jedynie przez media wizualne, funkcjonuje inaczej, niż ten, który również czyta książki. Pismo jest przecież podstawą cywilizacji.

Jest wiele przyczyn, dlaczego czytamy mało lub wcale. Jeżeli zajrzymy do którejś z księgarni, powiedzmy w Grodnie, a jest ich obecnie niewiele, zawsze można tam spotkać sporo ludzi, którzy starannie przeglądają interesujące ich pozycje lub przychodzą po konkretne tytuły. Jeśli zaś przyjrzymy się temu, co dominuje na półkach księgarskich i co dobrze schodzi, to można się bardzo rozczarować. Wśród wybieranych pozycji literatury dominują kryminały i fantasy oraz wszelkie poradniki o dość niskim poziomie.

Byłam zdziwiona, że biblioteki na Białorusi już nie mają czytelników. Ich zastąpili użytkownicy. Będąc użytkowniczką Działu Sztuki obwodowej biblioteki w Grodnie, zapytałam o to kierowniczkę Lilię Chodorowską: «Obecnie biblioteka oferuje użytkownikom nie tylko tradycyjne korzystanie z księgozbioru w czytelni lub wypożyczanie książek do domu, także korzystanie z Internetu, kserowanie interesujących artykułów i nut, słuchanie i nagranie muzyki». Może i jest w tym racja, ale czytelnik brzmi piękniej.

Osoby, które lubią czytać, wspominają, że ich przygoda z książką rozpoczęła się we wczesnym dzieciństwie, gdy w domu czytano im książki na głos. Organizatorzy fundacji «Cała Polska czyta dzieciom» od 15 lat zachęcają do codziennego czytania dzieciom. Twierdzą, że to skuteczna, tania i przyjazna metoda wspomagania wszechstronnego rozwoju dziecka. Dwadzieścia minut czytania może zrobić cud dla psychicznego, umysłowego, społecznego i moralnego rozwoju oraz budowania zasobów wewnętrznych dziecka: kompetencji emocjonalnych i intelektualnych. To najlepsza inwestycja w przyszłość dziecka – przekonuje fundacja.

Narodowe Czytania arcydzieł polskiej literatury, zainicjowane przez prezydenta RP w roku 2012, również zwracają uwagę na ważność czytania książek. Inicjatywę tę podtrzymali także Polacy, mieszkający za granicą, oraz Polonia.

Można przypuszczać, że małe zainteresowanie czytaniem książek wśród młodzieży bierze się obecnie z niskiej pozycji literatury jako przedmiotu w szkole. «Stosunek do literatury w szkole jest jak do pasierbicy» – zauważa docent Ałła Pietruszkiewicz. Zmniejszono ilość godzin na jej wykładanie, uczniowie obowiązkowe lektury często zastępują oglądaniem ekranizacji. A to nie to samo. Czytając książkę, stopniowo wchodzimy w mechanizm narracji, staramy się ją zrozumieć, oceniamy bohaterów. Czytanie oczywiście wymaga cierpliwości, ale uczy też samodzielnego myślenia i pobudza wyobraźnię, wzbogaca słownictwo, poprawia pamięć. Bierne oglądanie telewizji tego nie da. W konfrontacji z książką, opartą na słowie, a przekazem telewizyjnym, bazującym na obrazie, język okazuje się bardziej uniwersalny.

«Moim zdaniem, w ogóle trzeba zmienić koncepcję nauczania literatury, bo literatura kreuje człowieka i jego świat duchowy» – podkreśla docent Uniwersytetu Grodzieńskiego Helena Bilutenko. To nie nastąpi na pewno w najbliższym czasie, bo w edukacji eksperymentują, stawiając na przedmioty ścisłe, języki obce. Po eksperymentach dobry jest powrót do klasycznego kanonu, bo uczeń z bogatym światem wewnętrznym poradzi sobie w życiu.

Jakaż to przyjemność wziąć do rąk nową książkę, która jeszcze pachnie farbą drukarską, a za chwilę zabierze nas w fascynującą podróż… Ci, którzy nie czytają, nie do końca wiedzą, co tracą ■



W obecnej sytuacji nie ma sensu regulować cen produktów

Ceny wolnorynkowe

11 stycznia Rada Ministrów RB podjęła uchwałę, na mocy której uwolnione zostały ceny na podstawowe produkty żywnościowe.

Ceny na chleb, mięso, jajka, żywność dla dzieci nie jest już regulowana przez państwo. Władze Białorusi postanowiły wycofać się z odgórnego regulowania cen.

«Zważywszy na szeroką gamę produktów, występujących w różnych segmentach cenowych na rynku oraz konkurencję wśród producentów, nie ma potrzeby regulacji cen wielu produktów spożywczych (chleba, mięsa, nabiału, żywności dla dzieci)» – informuje służba prasowa RM.

Regulacja cen na niektóre produkty spożywcze będzie wprowadzona, jeśli okaże się to konieczne, w celu uniknięcia znacznych podwyżek cen podczas analizy sytuacji na rynku żywności i na czas określony, przy czym nie dłuższy niż 90 dni w ciągu jednego roku.

Na mocy dekretu znosi się także regulację taryf na szereg usług. Na przykład, przestają obowiązywać taryfy na obowiązkowe badania profilaktyczne obywateli, ponieważ koszty za ich przeprowadzenie ponoszą głównie podmioty gospodarcze.

Za wyjazd płać

Białoruś wprowadza system elektronicznej rejestracji w kolejkach na 15 przejściach granicznych.

Portal tut.by podaje, że opłata za rezerwację w elektronicznej kolejce pojazdów, chcących przekroczyć granicę RB, dla samochodów ciężarowych i autobusów wynosi 1 kwotę bazową (210 tys. rubli). Dla samochodów osobowych, motocykli i motorowerów – w dni poprzedzające weekendy, święta państwowe lub dni świąteczne również 1 kwotę bazową; w inne dni – 0,8.

Do 29 lutego 2016 elektroniczna kolejka zacznie działać na przejściu granicznym w Brześciu. Do 31 grudnia 2016 r. ma obowiązywać na przejściu z Ukrainą w Nowej Rudni.

Ma być na wszystkich 6 przejściach granicznych z Polską, gdzie jest ruch samochodowy. Do końca 2017 r. ma zacząć funkcjonować na przejściach w Domaczewie, Brzostowicy oraz Bruzgach, a do końca 2018 – na przejściach w Kozłowiczach i Pieszczatce.

W skrócie

Studenci, biorący 2 grudnia udział w marszu, manifestując sprzeciw wobec braku demokracji na uczelniach państwowych, zostaną niedopuszczeni do sesji zimowej lub relegowani z uczelni.

W 2015 r. Białoruś przeznaczyła na spłatę zagranicznego i wewnętrznego zadłużenia 6 mld USD, sięgnięto również do rezerw.

Połączenie kolejowe między Grodnem i Białymstokiem zostanie przywrócone 12 marca – informują Białoruskie Koleje Państwowe. Pociągi na tej trasie przestały kursować 13 grudnia ub.r. decyzją strony polskiej.

Rok 2016 na Białorusi ogłoszono Rokiem Kultury. Obejmie wszystkie sfery, w tym kulturę produkcji i uprawy ziemi, kulturę relacji rodzinnych, życia codziennego itd.

Na początku roku 90% targowisk jest nieczynna na skutek dekretu prezydenta Nr 222. Bez środków do życia pozostało ok. 500 tys. osób.

Pierwszy blok energetyczny na elektrowni jądrowej w Ostrowcu zostanie uruchomiony w listopadzie 2018, drugi – w lipcu 2020.

Żubry z Puszczy Białowieskiej i po stronie polskiej, i po białoruskiej mają zapewnione posiłki, lecz regularnie pustoszą pola i odwiedzają pobliskie miejscowości.

Przygotowała
Wanda Romańczuk



PODCZAS OTWARCIA MUZEUM KATYŃSKIEGO W WARSZAWIE

Nowe muzea

«Nową dynamikę» w sprawie rozbudowy infrastruktury muzealnej zapowiedział wiceminister kultury Jarosław Sellin.

Wydatki na kulturę z budżetu państwa będą w 2016 r. większe o 9,5% niż w r. 2015, korekcie w ciągu roku ulegną wieloletnie rządowe projekty budowy muzeów, powstanie też nowy program «Niepodległa 2018».

W ciągu najbliższych lat powstaną Muzeum Historii Polski i Muzeum Józefa Piłsudskiego. W planach jest też powstanie Muzeum Pole Chwały Westerplatte. Jako filia Muzeum Stuthoff ma powstać Muzeum Piaśnica, gdzie był pierwszy mord ludobójstwa w czasie II wojny światowej.

MKiDN wesprze budowę Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce. Chcemy też rozmawiać o Muzeum Dawnych Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej. W planach jest również powstanie Muzeum Ziem Zachodnich we Wrocławiu – mówił Sellin na antenie Polskiego Radia.

Na Cytadeli w Warszawie powstanie wyspa muzeów historycznych: Muzeum X Pawilonu, otwarte w ub.r. Muzeum Katyńskie, buduje się Muzeum Wojska Polskiego i Muzeum Historii Polski.

Łączą wartości

Prezydent RP spotkał się z przedstawicielami najważniejszych religii i wyznań w Polsce.

Podczas uroczystości Andrzej Duda podkreślał, że pomimo różnic w wierze, obywateli Rzeczypospolitej łączą wspólne wartości.

– Poprzez te wartości i ich elementy wspólne tworzymy wielką wspólnotę ludzi wierzących, ale i wspólnotę obywateli RP, patriotów. Jeśli ktoś chce to zobaczyć, niech pójdzie na polskie cmentarze wojenne, gdzie nagrobki różnych wyznań przeplatają się ze sobą. Wszyscy oni szli razem pod hasłem «Bóg, Honor i Ojczyzna». To z całą pewnością coś, co gromadzi nas razem – przemawiał do zgromadzonych prezydent.

Duda wzywał do poszanowania praw każdego człowieka, podkreślał znaczenie jednostki. – Bo Bóg stworzył człowieka i jest to z całą pewnością najpiękniejszy element świata, jaki został stworzony. Człowiek ze swoją wolną wolą, człowiek, który musi być pojmowany w sposób w najwyższym stopniu podmiotowym – mówił.

W skrócie

Koniec kontrabandy – w Terespolu. Na polsko-białoruskiej granicy pojawi się największy w Europie nowoczesny skaner, który będzie prześwietlać zawartość wagonów towarowych.

Prezydent A. Duda podpisał siedem ustaw, przyjętych przez Sejm i Senat. Wśród nich jest tzw. «mała» ustawa medialna, dzięki której PiS obsadzi stanowiska w mediach publicznych.

Prawdopodobnie hipermarkety zostaną opodatkowane od obrotów, a nie od powierzchni, jak planował rząd.

W najbliższym czasie szef MON powoła nową komisję do badania przyczyn katastrofy smoleńskiej z 10.04.2010 r.

Przez 420 miast w Polsce i 16 na świecie przeszły 6 stycznia Orszaki Trzech Króli.

Siedlecka fabryka firmy Stadler wyprodukowała pociągi Flirt, nazywane polskimi pendolino.

Środki finansowe na opiekę nad Polonią i Polakami za granicą wracają do Senatu.

Anna Maria Anders została przewodniczącą Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Córka gen. Andersa została też pełnomocnikiem Rady Ministrów ds. dialogu międzynarodowego w randze sekretarza stanu.

PRZYGOTOWAŁA
MARIA ZANIEWSKA

Festiwal w Australii

PolArt to jeden z największych polonijnych festiwali na święcie. Święto miłośników polskiego teatru, muzyki, tańca, literatury i kuchni odbyło się w dn. 27 grudnia-3 stycznia.



ZESPOŁY TANECZNE PODCZAS GALI ZAMKNIĘCIA FESTIWALU

PolArt odbywa się co trzy lata w każdym z miast stanowych w Australii. Po raz trzeci gospodarzem festiwalu był Melbourne – jedno z największych skupisk polonijnych na tym kontynencie. To 13. edycja PolArt-u. Program festiwalu jest bardzo różnorodny.

W teatrze w Melbourne zaprezentowały się grupy teatralne z Sydney, Perth i Adelajdy. Wystąpili też artyści z Polski – ze swoim spektaklem do Australii przyjechał Teatr Bagatela z Krakowa. W kilku galeriach były prezentowane obrazy, ryciny, rzeźby i fotografie polskich artystów. Zaprezentowali się artyści nie tylko z Australii, ale także Polonusi z Nowej Zelandii.

PolArt promuje polskich muzyków, piosenkarzy, pianistów i artystów operowych. Były także pokazy polskich filmów i koncerty. Wystąpiły 22 zespoły artystyczne, w tym dziecięce grupy taneczne.

Festiwalowi przyświeca m.in. idea podtrzymania w młodych polskich sercach poczucia osobistej godności i odpowiedniego miejsca w wielokulturowym społeczeństwie Australii. W ciągu ośmiu dni festiwalowych Melbourne odwiedziło kilkaset tysięcy osób – to wyjątkowa okazja do promowania polskiej kultury.

Polacy w Australii są prężnie działającą grupą, mają wielu wybitnych rodaków w różnych dziedzinach życia.

«Nowy Dziennik» tygodnikiem

Ukazująca się w Nowym Jorku i pobliskich stanach gazeta «Nowy Dziennik» likwiduje po 45 latach codzienne wydanie. Od 14 stycznia br. wychodzi jako tygodnik.

PAP podaje, że wynika to ze spadku sprzedaży wydań papierowych oraz przeniesienia reklam do nowych środków przekazu. Główny właściciel i prezes «Nowego Dziennika» Edward Nowakowski powiedział PAP, że sprzedaż znacznie spadła od poniedziałku do czwartku. Zachowane zostanie internetowe wydanie, które nazwał największym polskojęzycznym w obu Amerykach. Planuje się też wprowadzenie angielskiej wersji, by pozyskać czytelników zainteresowanych polskimi i polonijnymi problemami, lecz niemówiących po polsku.

Nowakowski jest rozczarowany brakiem znaczącej pomocy ze strony organizacji i biznesów polonijnych, nie otrzymał też wsparcia z Polski.

Były redaktor «Nowego Dziennika» dr Czesław Karkowski upatruje przyczyny problemów m.in. w tym, że wśród młodzieży, nie tylko polskiej, zanika nawyk czytania książek i pism. «Konkurencja innych mediów, zwłaszcza wizualnych, oraz szybkich witryn informacyjnych czyni powolne, papierowe dzienniki mediami przestarzałymi. Gwałtowny odpływ czytelników i reklamodawców sprawia, że większość dzienników, nie tylko polonijnych, przestaje być rentowna i zamyka się».

Założony w 1971 r. z inicjatywy wieloletniego wydawcy i redaktora naczelnego Bolesława Wierzbiańskiego dziennik miał opinię największej opiniotwórczej publikacji polskiej wydawanej poza granicami kraju. W gazecie publikowali teksty wybitni politycy i publicyści, np. Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak-Jeziorański czy Wojciech Wasiutyński.

«Nowy Dziennik» zrezygnował też z programu NDTV, emitowanego na niekomercyjnej, miejskiej stacji telewizyjnej WNYE-TV.

PRZYGOTOWAŁA
WANDA ROMAŃCZUK

Stanisław Mackiewicz «Cat»

Polityk konserwatywny, publicysta, pisarz, prawnik, brat Józefa. 18 lutego przypada 50. rocznica jego śmierci (1896-1966).

W ll. 1916–17 należał w POW. W latach 1922–1939 redaktor dziennika «Słowo» w Wilnie, to główny okres jego wpływów i działań publicystycznych. Działacz wileńskich organizacji konserwatywnych i monarchistycznych (tzw. żubrów); 1928–1930 poseł na Sejm, następnie w opozycji (prawicowej). Ale sympatyzował z Piłsudskim, poparł zamach majowy. Krytyka polityki Józefa Becka zaprowadziła Mackiewicza wiosną 1939 do obozu w Berezie Kartuskiej.

W latach 1940-1956 działał w Londynie. Tu nastąpił szczyt jego działalności politycznej. Należał do czołowych przedstawicieli opozycji rządu emigracyjnego, zwalczał gabinety Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka. W 1954 r. emigracyjny prezydent August Zaleski powierzył Mackiewiczowi tekę premiera i ministra spraw zagranicznych rządu RP na uchodźstwie.



Stanisław Mackiewicz «Cat»

W 1956 r. Stanisław Cat-Mackiewicz wypowiedział słynne słowa: «Polska jest Polską» i jako jeden z nielicznych emigracyjnych polityków wrócił do Polski. Ostatni okres życia spędził w Warszawie, skupiając się przede wszystkim na bogatej twórczości historyczno-literackiej.

Napisał 21 książek, m.in. «Książka moich rozczarowań», «Historia Polski. Od 11 listopada 1918 do 17 września 1939», «Klucz do Piłsudskiego», «Dostojewski», «Stanisław August», «Londyniszcze», «Europa in flagranti». Także 55 broszur i ponad 3 tys. artykułów. Autor polemicznych szkiców historycznych, politycznych, literackich.

Anna German

Polska piosenkarka, kompozytorka i aktorka. 14 lutego mija 80. rocznica jej urodzin (1936-1982).

Ur. w Urgenczu (Uzbekistan). Jej matka, Irma Berner z domu Martens, była z pochodzenia Holenderką. Ojciec Eugeniusz German – księgowy, ur. w Łodzi, z korzeniami niemieckimi, stał się ofiarą stalinowskich represji. W 1946 r. Anna z matką i babką wyemigrowały do Polski.

Jej kariera artystyczna rozpoczęła się w r. 1957. Śpiewała po polsku, rosyjsku, a także w języku niemieckim, włoskim, hiszpańskim, angielskim oraz łacińskim. Laureatka festiwali m.in. w Monte Carlo, Wiesbaden, Bratysławie, San Remo, Neapolu, Viareggio, Cannes, Ostendzie, Sopocie, Opolu, Kołobrzegu, Zielonej Górze.

Została także zaproszona przez włoską firmę fonograficzną «Company Discografica Italiana» do Włoch. W 1966 r. wystąpiła na scenie paryskiej Olimpii. W 1967 r. jako pierwsza i jedyna w historii polska artystka zaśpiewała na XVII Festiwalu w San Remo, a także jako pierwsza cudzoziemka na XV Festiwalu Piosenki Neapolitańskiej.



Anna German

W 1967 r. we Włoszech uległa wypadkowi samochodowemu. Powracała do zdrowia przez trzy lata. Podczas rekonwalescencji napisała książkę biograficzną pt. «Wróć do Sorrento?». Na scenę powróciła w 1970 r. i zdobyła złotą płytę za «Człowieczy los».

W 1972 r. wyszła za mąż za Zbigniewa Tucholskiego. W 1975 r. urodził się ich syn Zbigniew. Artystka wielokrotnie występowała na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, gdzie w 1979 r. zdobyła Złoty Pierścień oraz na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze (ostatni raz w 1979). Jej ostatnia polska płyta została zarejestrowana w r. 1979, w języku rosyjskim w 1980. Miała niezwykle piękną barwę głosu. Była bardzo popularna w ZSRR.

O jej życiu powstał 10-odcinkowy serial.

Przygotowała
Maria Zaniewska

Pospieszalscy w Grodnie

To był niezapomniany koncert kolęd i dobrej muzyki w kościele na Dziewiatówce w Grodnie. Oprócz znanych polskich kolęd w ciekawych aranżacjach, utalentowani artyści zabrali publiczność w podróż po świecie, śpiewając kolędy w klimatach karaibskich, latynoskich czy wschodnich. Publiczność był zachwycona i reagowała bardzo żywiołowo, śpiewała razem z zespołem, a nawet tańczyła.

Wszyscy członkowie rodziny Pospieszalskich są bardzo uzdolnieni muzycznie: śpiewają i grają na różnych instrumentach. Wszyscy mają za sobą edukację muzyczną. Łączy ich wspólna wielka pasja.

Są także przykładem, co potrafi liczna rodzina. W zespole występują przedstawiciele dwóch pokoleń Pospieszalskich. – Wielka rodzina nauczyła nas hartu ducha, pracowitości, odpowiedzialności za innych – powiedział Jan Pospieszalski. – Warto mieć wielką rodzinę.



IRENA WALUŚ

ARTYŚCI STWORZYLI NIEZWYKŁĄ ATMOSFERĘ CIEPŁA I JEDNOŚCI MUZYKÓW Z PUBLICZNOŚCIĄ



Każdy z członków rodziny Pospieszalskich jest bardzo uzdolniony muzycznie





Jan Pospieszalski

Testament Pana Bernarda

Irena Waluś

7 grudnia 2015 roku odszedł od nas Bernard Pakulnicki z Horodziei. Był założycielem i wieloletnim prezesem oddziału ZPB w tej miejscowości. Czytelnikom «Magazynu Polskiego» pozostanie w pamięci jako Autor krajoznawczych artykułów, w których przede wszystkim zwracał uwagę na polskie dziedzictwo historyczne i kulturowe, na wybitne postacie naszej ziemi.



Irena Waluś

Bernard Albert Pakulnicki

Wspomnienia

Jego odejście było zaskoczeniem dla wszystkich, kto go znał. Pan Bernard był optymistą, zawsze miał dużo planów, prowadził aktywny tryb życia. Wspominam go bardzo ciepło. Podczas spotkań dużo rozmawialiśmy, najwięcej na tematy, dotyczące jego publikacji, mieliśmy także kontakt telefoniczny i mailowy. Opisał wiele miejsc, związanych z polską kulturą i historią w obwodach mińskim, brzeskim, na Grodzieńszczyźnie. «Polskie zabytki historii i kultury, które przetrwały, to nasza łączność z przeszłością, pamięć o przodkach» – napisał w artykule «Niepokoje kresowiaka».

Starannie planował i przygotowywał się do trasy, którą chciał zwiedzić, np. szlakiem Ignacego Domeyki, Adama Mickiewicza czy inne miejsca – tę trasą przemierzał rowerem, a potem opisywał, co widział, jaki jest stan zabytków, robił zdjęcia. Pisał o spotkaniach z ludźmi, odwiedzał miejsca pamięci, polskie groby. Był wnikliwym obserwatorem i co ważne – pisał w sposób emocjonalny, poruszając serca czytelników.

Mieczysław Jaśkiewicz, prezes ZPB, wspomina Bernarda Pakulnickiego jako wspaniałego człowieka, którego będzie nam brakowało. W roku 1997 razem z Bernardem, który pracował wtedy jako nauczyciel WF w Miadziole, rozpoczynali tworzenie klubu sportowego «Sokół». – On, także jak i ja, ukończył Akademię Wychowania Fizycznego w Mińsku. Jego drużyny brały udział w zawodach o puchar «Sokoła». Bernard Pakulnicki po odejściu na emeryturę zamieszkał w Horodziei niedaleko Nieświeża, w 2008 r. założyliśmy oddział ZPB, został wybrany jego prezesem. Był bardzo oddany sprawom Związku Polaków, był członkiem Rady Naczelnej ZPB. Badał dzieje ziem kresowych i napisał przewodnik, w którym opisał ślady polskiej kultury i historii na



Irena Waluś

Swoją wiedzą krajoznawczą chętnie dzielił się z ludźmi. Tu: Działacze ZPB podczas wycieczki w Nieświeżu. 2014 r.

Białorusi. Mówiłem mu, że będziemy poszukiwać możliwości, by go wydrukować. Ostatni raz odwiedziłem go w czerwcu ub.r., snuliśmy plany, lecz stało się inaczej… Jego odejście to wielka strata.

Andżelika Borys, prezes Rady Naczelnej ZPB, wspomina, że dzięki jego zaangażowaniu powstało nauczanie języka polskiego w Horodziei, które prowadził społecznie. «Poświęcał temu dużo czasu, organizował dla dzieci wycieczki krajoznawcze, kolonie w Polsce. Organizował także imprezy sportowe. Był bardzo oddany sprawie pielęgnowania polskości, wiele spraw robił z własnej inicjatywy i własnymi silami.

Brał udział we wszystkich przedsięwzięciach, które organizowałam, w tym w szkoleniach dla nauczycieli. Dla mnie jego śmierć była dużym zaskoczeniem, bo rozmawiałam z nim przez telefon dwa dni przed jego odejściem. To niepowetowana strata, na jego entuzjazmie i autorytecie trzymała się w Horodziei działalność oddziału. Wspominam go także jako pasjonata historii i opiekuna miejsc polskiej pamięci. To był człowiek nie do zastąpienia».

Polak, patriota, strażnik polskości

Przejrzałam jego teksty, napisał ich dużo, wystarczyło by na książkę. W nich opisał nie tylko troskę o stan polskiego dziedzictwa na Białorusi, są w nich wątki biograficzne, przemyślania na temat zachowania polskich tradycji i wychowania młodzieży czy wypierania języka polskiego z kościołów. Czasami coś go tak poruszyło, że pisał długi mail, zwykle zamieszczałam jego listy w rubryce «Poczta». I te jego listy poruszały nie tylko serca, ale i nasze sumienia – trzeba coś robić.

Na podstawie jego artykułów chcę przypomnieć, co było ważne dla Pana Bernarda w życiu.

Urodził się 12 czerwca 1948 roku we wsi Jadokłanie w sześciu kilometrach od Ostrowca w rodzinie Józefa i Genowefy Pakulnickich, jego matka z domu Stużyńska. Na chrzcie otrzymał imiona Bernard Albert, ochrzczony został w kościele pw. świętych Kosmy i Damiana w Ostrowcu.

Wspominał, gdy w czasach sowieckich zakazywano uczęszczać do kościoła, matka woziła go do Wilna do Ostrej Bramy. – Klęczymy, twarzami zwróceni do Bramy. Wysoko, między ulicą a niebem, zawisł otwarty ołtarz w koronie jarzących się świec, a między świecami jaśniejący złoty obraz, jak olśniewająca gwiazda. Usta, mimo woli, szepczą cicho słowa Wieszcza:

«Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy

I w Ostrej świecisz Bramie!».

Wilno było pierwszym wielkim miastem, które zobaczył w swoim życiu i zachwyt miastem nad Wilią pozostał do końca życia. «Wilno, zwiedzane często z rodzicami, a potem samodzielnie, dawało mi siłę ducha, moc i natchnienie w czasach sowieckich. W moim życiu Wilno odegrało dużą rolę, miało wpływ na kształtowanie mojej osobowości». W innym artykule pisał: «Po latach zrozumiałem bogactwo i historyczną wartość tej ziemi. Wielokulturowość stanowiła zawsze siłę Kresów, które przez całe wieki garnęły się ku polskości».


Bernard PAKULNICKI

JADOKŁANIE – MAŁA OJCZYZNA BERNARDA PAKULNICKIEGO

Pan Bernard podkreślał, jak duży wpływ na jego wychowanie mieli rodzice i dziadkowie, którzy przekazali mu miłość do Polski, często mu opowiadali o Polsce, która w ich pamięci «była idealna i promienna». Był dumny, że jest Polakiem i podkreślał to niejednokrotnie.

Pisał: «Jestem przedstawicielem polskiego pokolenia inteligencji kresowej, które wyrosło bez szkoły polskiej. Uczyłem się czytać po polsku z «Czerwonego Sztandaru», gazety wydawanej w języku polskim w czasach sowieckich w Wilnie». Jego zdaniem język polski przetrwał tylko tam, gdzie starsze pokolenie starało się podtrzymywać jego znajomość i gdzie był językiem domowym. «Moja matka świadomie mówiła wyłącznie po polsku. Do dnia dzisiejszego pamiętam przykazanie ojcowskie: «Polak żyje, pracuje, cierpi i umiera z myślą o Bogu i Polsce».

Bardzo kochał rodzinne strony, odczuwał więź z krajem rodzinnym, jego tradycjami i historią: «Każdy człowiek ma swoją małą ojczyznę, bliski i drogi zakątek na tej dużej ziemi. Przyciągają go doń nie tylko wspomnienia z dzieciństwa, zapamiętane od najmłodszych lat rodzime krajobrazy, ale i ludzie, którzy tam zostali». Jego opisy były wręcz poetyckie: «Ostrowieczczyzna to część historycznej Wileńszczyzny. I porywa ona, i woła, i przyciąga. To kraj kochany i bliski mojemu sercu, niepowtarzalny».

Ze smutkiem pisał, że w jego Jadokłaniach pozostał już tylko jego dom rodzinny. «Wszystko zarosło trawą i krzakami. Dom rodzicielski oraz budynki gospodarcze coraz niżej chylą się do ziemi. Obecnie jest tu dobra droga żwirowana. Za późno ją zrobili! Nie ma już komu po niej chodzić».

Miał 18 lat, gdy opuścił swą małą ojczyznę. «Rodzice odprowadzili mnie do bramy ze smutkiem, przeżegnali błogosławiąc na drogę, bo chcieli, żeby mój los i los moich braci ułożył się lepiej niż ich, zmęczonych ciężką pracą w kołchozie…». Ale wracał w strony rodzinne «czasami na dzień, na tydzień, rzadziej na dłużej». Obowiązkowo był w swoim kościele, odwiedzał groby bliskich.

W artykule «Moje powroty» napisał: «Często nachodzą mnie nostalgiczne wspomnienia o małej ojczyźnie. Lubię powroty w moje strony rodzinne, które budzą w moim sercu piękne i słodkie uczucia».

Jeżeli coś go oburzało, to padały ostre słowa: «Niestety, naprzeciwko mojej szkoły nadal stoi pomnik Lenina. Aż chce się krzyczeć: dlaczego władze białoruskie tak czczą tego zbrodniarza? W swojej trosce niedawno wymieniły ohydną betonową figurę tyrana bolszewickiego na brązową, żeby lepiej wyglądał, nowocześniej. Jakby na Białorusi brakowało wybitnych ludzi, pamięć o których trzeba zachować».

Prawie w każdym artykule apelował o zachowanie zabytków. Pisał, że Białoruś ponad 20 lat jest niepodległym krajem, jednak «jak na razie nie potrafiła wypracować godnego stosunku do dziedzictwa. Białoruscy urzędnicy wprost gwiżdżą na ochronę zabytków historii i kultury, coraz częściej je usuwając. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś został ukarany za niezgodne z prawem działania wobec zabytków historii i kultury. Coraz częściej są wypadki, gdy obiekty historyczne sprzedaje się za bezcen lub usuwa się buldożerami, zupełnie nie licząc się z opinią publiczną».

Niepokoiło go wiele spraw, związanych z zachowaniem polskości, w tym co raz mniejsza obecność języka polskiego w kościele. «Władze dlaczegoś troszczą się o białoruskość Kościoła katolickiego. Niech lepiej się zatroszczą o białoruskość swoich urzędników, którzy w języku białoruskim często ani mru-mru» – pisał w liście do redakcji.

W jego artykułach było dużo przemyśleń na tematy ważne dla nas, Polaków: «Tożsamość Polaków na Kresach zawsze kształtowała się pod wpływem dominujących i bardziej atrakcyjnych polskich wartości kulturalnych, gdzie ważna rola należała do religii i Kościoła katolickiego».

Pan Bernard pozostawił po sobie wspaniały ślad, w swoich artykułach powiedział wszystko, co miał do przekazania obecnym i przyszłym pokoleniom rodaków: o swoich marzeniach, fascynacjach, niepokojach. Był w tym bardzo szczery, czasami do bólu. To testament Bernarda Alberta Pakulnickiego, Polaka rodem z Ostrowieczczyzny ■



Irena Waluś

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski wpisuje się do Księgi Gości w Domu-Muzeum Czesława Niemena

Z potrzeby serca

Irena Waluś

Na początku roku Związek Polaków odwiedziła 7-osobowa delegacja Urzędu Miasta Sopotu na czele z prezydentem Jackiem Karnowskim. To już tradycja, od lat przyjeżdżają w okresie świąteczno-noworocznym, żeby odwiedzić i wesprzeć Polaków z Białorusi.

Współpraca ZPB z Sopotem trwa od 2008 r. Tylko w ub.r. 50-osobowa grupa działaczy ZPB z Mińska odwiedziła Trójmiasto, a 30 nauczycieli uczestniczyło w szkoleniach w Sopocie.

Jacek Karnowski powiedział, że zawsze jest wielu chętnych do wyjazdu na Białoruś, więcej niż mogą zabrać. «Możemy od was się uczyć prawdziwego patriotyzmu i naładować swoje akumulatory». Tym razem goście z Polski spotkali się z miejskim oddziałem ZPB w Grodnie. Następnie zwiedzili Wasiliszki, gdzie również odbyło się spotkanie z Polakami. Odwiedzili kościoły w Starych i Nowych Wasiliszkach. Chwilą ciszy i modlitwą uczcili pamięć żołnierzy Armii Krajowej przy Krzyżu Pamięci na cmentarzu w Starych Wasiliszkach.

Delegacja z Sopotu zwiedziła także Dom-Muzeum urodzonego w Wasiliszkach znanego artysty Czesława Niemena. Prezydent Karnowski zadeklarował dyrektorowi muzeum, że podczas następnej wizyty przywiozą nagrania z wystąpień Niemena w Operze Leśnej w Sopocie. Anna Łukasiak z Rady Miasta podkreśliła, że jako polonistka zawsze chciała zwiedzić te tereny, gdzie urodziło się tylu wybitnych Polaków. Przedsiębiorca Andrzej Mroziński zaznaczył, że bogactwem tej ziemi są wspaniali ludzi.

Dalej w programie było zwiedzanie cmentarza w Surkontach, gdzie w sierpniu 1944 r. AK-owcy pod dowództwem mjr Macieja Kalenkiewicza «Kotwicza» stoczyli swój ostatni bój. Następnie na gości z Sopotu czekali rodacy z Radunia. Wszyscy razem uczestniczyli we Mszy św. w kościele Matki Boskiej Różańcowej, było to dniu uroczystości Objawienia Pańskiego. Po liturgii dzieci uczący się języka polskiego wystawiły jasełka.

W ostatnim dniu pobytu na Białorusi sopocianie odwiedzili Polaków w Indurze i Wołkowysku. Katarzyna Alesionek powiedziała, że dużo łatwiej jest zorganizować działania, kiedy wiedzą oczekiwania tutejszych Polaków, np. potrzebne są polskie filmy. Mieczysław Jaśkiewicz, prezes ZPB, powiedział, że następna wizyta przyjaciół z Sopotu, podczas której zostanie rozegrany mecz piłki halowej, odbędzie się w kwietniu. Z Sopotu zostanie przywieziona, jak już od wielu lat, wystawa artystyczna, która odbędzie się na Nowym Zamku ■



Przedwyborcze spotkanie kandydata na prezydenta Stanisława Szuszkiewicza w siedzibie ZPB. 10.04.1994 r.

Edukacja polskojęzyczna w ll. 1988-1996 na Białorusi

Problemy odrodzenia i udział w nim społeczeństwa białoruskiego w Grodnie

Tadeusz GAWIN

Szkoły polskojęzyczne, albo polskie, jak je nazywali w oficjalnych dokumentach przedstawiciele sowieckiej i partyjnej władzy Białorusi, ostatecznie zostały zlikwidowane w 1948 roku. Rok przedtem 10 grudnia 1947 r. Pierwszy Sekretarz Grodzieńskiego Obwodowego Komitetu Wykonawczego Piotr Kalinin, przemawiając podczas V wspólnego posiedzenia obwodowego i miejskiego komitetów wykonawczych partii komunistycznej uzasadnił konieczność likwidacji polskich szkół w obwodzie grodzieńskim tym, że nie uda się w nich wychować radzieckich patriotów.

Jednak Kalinin proponował pozostawienie w tych szkołach nauki języka polskiego jako przedmiotu obowiązkowego. Zgodnie z decyzją tegoż posiedzenia, polskie szkoły należało przekształcić w szkoły rosyjsko– bądź białoruskojęzyczne. Należy podkreślić, iż przewagę władze oddawały utworzeniu szkół rosyjskojęzycznych. Zamknięcie polskich szkół na Zachodniej Białorusi, gdzie w 1944-1945 roku szkolnym było ich 207, stało się pierwszym etapem rusyfikacji nie tylko tego regionu, lecz i całej BSRR. Po likwidacji nauczania w języku polskim na terenie BSRR władze – zarówno partyjne, jak i radzieckie – od razu się wzięły za wprowadzenie ograniczeń działalności szkół białoruskojęzycznych.

Po śmierci Józefa Stalina w 1953 r. pojawiła się możliwość wznowienia nauczania w języku



Jarosław Waniukiewicz

Z działaczami ZPB przed wyborami spotkał się również kandydat na prezydenta lider BFN Zenon Poźniak. 16.04.1994 r.

polskim w szkołach BSRR. W celu zbadania danej kwestii w roku 1954 do BSRR przybyła delegacja Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (KC KPZR), która doszła do wniosku, iż nauczanie w języku polskim w miejscach ścisłego zamieszkania Polaków jest uzasadnione. Jednak ostateczna decyzja, która została podjęta w Moskwie, była odmowna. Przeciwko nauczaniu w języku polskim były partyjne władze BSRR. Sekretarze KC Komunistycznej Partii Białorusi Mikołaj Potoliczew i Timofiej Gorbunow, sekretarze grodzieńskiego komitetu wykonawczego KPB Panomariow i Maczulin, mołodeczańskiego obwodowego komitetu wykonawczego KPB Siergiej Prityckij przekonali KC KPZR do tego, że konieczności otwarcia w BSRR polskich szkół i nauczania w języku polskim nie ma, ponieważ z ich punktu widzenia, w republice Polaków nie ma, są jedynie spolszczeni Białorusini.

Do kwestii języka polskiego władze systematycznie wracały. Tak np. za rok, 9 maja 1955 r., zostało podpisane postanowienie Rady Ministrów ZSRR № 3947P, które pozwalało Polakom uczyć się języka polskiego w szkołach rosyjskojęzycznych zamiast języka białoruskiego, w tym przypadku, gdy ten język nie był ich językiem ojczystym. W rzeczywistości dane postanowienie nie zostało zrealizowane przez władze BSRR.

W ten oto sposób od 1948 do 1988 roku władze partyjne i radzieckie robiły wszystko, by nie pozwolić nie tylko na otwarcie szkół polskich, ale i na nauczanie języka polskiego. BSRR wówczas była jedyną sąsiadującą z Polską republiką radziecką, gdzie Polacy zostali pozbawieni konstytucyjnego prawa do nauki w języku ojczystym w szkołach.

W sąsiedniej Litewskiej SRR tego czasu działało ponad 100 polskich szkół, w Ukraińskiej SRR istniały dwie polskie szkoły we Lwowie.

Należy też zaznaczyć, że kierownictwo PRL nie okazywało zainteresowania w rozwiązaniu problemów kulturalno-edukacyjnych polskiej mniejszości narodowej w BSRR. To w wielu aspektach pozwoliło władzom partyjnym i radzieckim realizować tak bardzo niszczącą politykę w odniesieniu do Polaków, w której nie było miejsca na rozwój ich języka ojczystego i kultury.

Najważniejszym zadaniem takiej polityki była całkowita i ostateczna sowietyzacja i rusyfikacja Polaków w BSRR. W taki sposób polska mniejszość narodowa za niedługo powinna była zniknąć.

Rozpoczęta w r. 1985 przez Michaiła Gorbaczowa «pieriestrojka», stworzyła po raz pierwszy od czasów po wojnie warunki ku odrodzeniu języka i kultury polskiej w BSRR. Pierwszym spośród białoruskich działaczy kulturalnych, który ten temat zaczął omawiać na poziomie KC KPZR, był białoruski pisarz z Grodna Alaksiej Karpiuk. W kwietniu 1987 r. wysłał on list do Gorbaczowa, w którym



Jarosław Waniukiewicz

Najwięcej podczas kampanii prezydenckiej obiecał ówczesny kandydat na prezydednta Aleksander Łukaszenko (trzeci z lewej). Tu: podczas spotkania w siedzibie ZPB z Tadeuszem Gawinem

wymienił wszystkie problemy białoruskich Polaków, związane z ich językiem ojczystym i kulturą.

W związku z brakiem ze strony KC KPZR jakiejkolwiek reakcji na rozwiązanie – można powiedzieć – polskiej kwestii na Białorusi, Karpiuk ponownie w grudniu tego samego roku zwrócił się do Gorbaczowa. Kopie listów przekazał do Konsulatu Generalnego PRL w Mińsku, który z kolei wykonał ich zdjęcia i przesłał je do międzynarodowego działu KC Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, do konsularnego Departamentu MSZ Polski, a także do Ambasady PRL w Moskwie.

Z punktu widzenia Karpiuka, dzięki aktualizacji kwestii polskiej na poziomie kierownictwa dwóch krajów ten problem powinien był ruszyć z miejsca. W rezultacie władze lokalne powinny były ponownie zwrócić uwagę na istnienie polskiej mniejszości narodowej w republice. Należy też podkreślić, iż działania Alaksieja Karpiuka w kierunku rozwiązania problemu z nauczaniem w języku polskim wsparł znany w całym Związku Radzieckim białoruski pisarz Wasil Bykau. Nie wszyscy w środowisku białoruskich pisarzy mieli pozytywny stosunek do działań Karpiuka. Głównym ideologiem owej grupy był pisarz z Mińska Nil Gilewicz. W rozwoju szkolnictwa polskojęzycznego widzieli oni zagrożenie polonizacją Białorusi. Przy tym, przesadzając wpływ polskiego odrodzenia, próbując mu zapobiec, nie docenili niebezpieczeństwa rusyfikacji Białorusi, która przybierała na sile.

Po utworzeniu w 1988 r. Polskiego Kulturalno-Oświatowego Towarzystwa im. Adama Mickiewicza (w 1990 r. przekształconego w Związek Polaków na Białorusi (ZPB), głównym zadaniem jego działalności społecznej stało się odrodzenie polskojęzycznych szkół oraz nauczanie w języku polskim w szkołach z białoruskim czy rosyjskim językami nauczania.

W celu niedopuszczenia rozwoju tego procesu władze republiki stworzyły w społeczeństwie atmosferę braku akceptacji zapotrzebowań Towarzystwa i Związku Polaków na Białorusi. Próby wprowadzenia do szkół języka polskiego jako przedmiotu spotykały się z przeciwem ze strony administracji szkół, a także kierownictwa obwodowego i rejonowych działów edukacji. Warto zaznaczyć, że owe kroki były podejmowane niezgodnie z działająca konstytucją i zasadami «pieriestrojki». Oprócz tego, władze próbowały wciągnąć do walki przeciwko polskiemu odrodzeniu białoruskie organizacje patriotyczne, w pierwszej zaś kolejności Białoruski Front Narodowy (BFN).

Kierownictwo ZPB w zaistniałej sytuacji wypracowało metodę nawiązania partnerskich stosunków z białoruskimi organizacjami. Powoli stabilizowały się stosunki z BFN, jako najaktywniejszym i najbardziej wpływowych ruchem w republice. Z inicjatywy ZPB niejednokrotnie miały miejsce spotkania i rozmowy z kierownictwem BFN w Grodnie oraz Mińsku. W rezultacie licznych spotkań liderzy BFN Zenon Poźniak

i Michaś Tkaczou zajęli pozycję wsparcia polskiego odrodzenia narodowościowego. W ten oto sposób władze w swym zahamowaniu rozwiązania kwestii polskiego odrodzenia traciły argument, iż niby to BFN jest przeciwko rozwojowi języka i kultury polskiej w BSRR. Wszystkie kropki nad «i» zostały rozstawione podczas wystąpienia w czerwcu 1990 r. na I zjeździe ZPB przedstawiciela kierownictwa BFN profesora Michasia Tkaczowa, podczas którego on publicznie wsparł działalność ZPB w kierunku polskiego odrodzenia narodowego.

Dość znaczny przełom we wzajemnych stosunkach ZPB oraz białoruskich organizacji społecznych nastąpił 30 września 1990 r., kiedy to odbywała się manifestacja na rzecz utworzenia polskiej szkoły w Grodnie. Jeden z grodzieńskich liderów BFN Alaksiej Piatkiewicz w swoim przemówieniu wsparł potrzeby Polaków co do zorganizowania polskojęzycznego nauczania w mieście. Piatkiewicz powiedział, iż ilość szkół polskich powinna być zależna od ilości ludności polskiej, która mieszka w Grodnie. Równolegle przeciwko polskojęzycznej szkole wystąpili kierownik Grodzieńskiego Obwodowego Komitetu Wykonawczego Dymitr Arcymienia, druga sekretarz Grodzieńskiego Obwodowego Komitetu Wykonawczego ds. ideologii Maria Biriukowa oraz zastępca kierownika obwodowego działu edukacji Włodzimierz Gawron.

Całkowicie nowe warunki dla organizacji edukacji w języku polskim oraz jego nauczania w republice pojawiły się po rozpadzie ZSRR w 1991 r. Młode państwo białoruskie, odradzając swą białoruskość, jednocześnie pragnęło sprostać wymogom polskiej mniejszości narodowej.

W ten oto sposób ukształtowała się polityka kierownictwa RB na czele ze Stanisławem Szuszkiewiczem. Nowe podejście do polskiej



Jarosław Waniukiewicz

Rządowa delegacja w Domu Polskim w Grodnie. Pierwszy z lewej ówczesny mer Grodna Henryk Krupienko, trzeci z lewej – minister oświaty Wiktor Gajsionek, pierwszy z prawej Anatol Butewicz, minister informacji

kwestii sprzyjało zorganizowaniu spotkania przewodniczącego Prezydium Najwyższej Rady RB Stanisława Szuszkiewicza z kierownictwem Związku Polaków na Białorusi, które się odbyło w styczniu 1992 r. w Mińsku. Podczas spotkania przedstawiciele ZPB przekazali Szuszkiewiczowi list z problemami, w celu rozwiązania których konieczna była ingerencja kierownictwa republiki. Najważniejszym pytaniem nadal pozostawało utworzenie szkół polskich na Białorusi, a także nauczanie języka polskiego w szkołach kraju.

Stanisław Szuszkiewicz owe pismo w celu rozpatrzenia i podjęcia decyzji przekazał komisji ds. edukacji, kultury i zachowania dziedzictwa historycznego Najwyższej Rady RB, kierownikiem której był deputowany, członek Związku Pisarzy Białorusi Nil Gilewicz. Wcześniejsze stanowisko Gilewicza w kwestii polskiej nie uległo zmianom. W rezultacie decyzja komisji nie dawała żadnych szans Polakom na odrodzenie i rozwój polskiej edukacji na Białorusi. W odpowiedzi na list ZPB napisano: «[...] Komisja doszła do wniosku, że z tego powodu, iż Państwa propozycje nadają się do dyskusji, najistotniejsze zaś momenty są w ogóle sprzeczne z Ustawą o językach w RB oraz z państwowym programem rozwoju języka białoruskiego, reakcja nań jest bezsensowna. Proszę się zgodzić, Panie [Gawin], że gdyby urzeczywistnić Pańskie propozycje (a jest ich niemało – bo ponad 20) wszystkie naraz, by dogodzić Polakom, było by to niczym innym, jak naruszeniem praw innych narodowości. Do tego dodać należy, że co niektóre z nich są niezgodne z umowami międzynarodowymi».

Jeśli nawet się zgodzić z założeniami Komisji, że część wymogów ZPB była sprzeczna i nieuzasadniona, to jednak w żaden sposób nie można zaakceptować twierdzenia, że prośba o utworzenie szkół polskich i nauczanie języka polskiego była niezgodna z prawem, istniejącym na Białorusi. Należy przy tym również pamiętać, iż nawet radziecka konstytucja gwarantowała takie prawo Polakom.

W ten oto sposób, mimo warunków, sprzyjających odrodzeniu polskości, które zostały stworzone przez kierownictwo republiki w Mińsku, miało miejsce przeciwstawienie się temu procesowi ze strony Komisji ds. edukacji, kultury i zachowania dziedzictwa historycznego Najwyższej Rady RB,



Dzięki zdecydowanej postawie ZPB od początków walki o szkolnictwo polskie obecnie dzieci i młodzież mogą uczyć się języka polskiego w różnych formach nauczania. Tu: Uczniowie PSS przy ZPB w Grodnie

a także lokalnych władz. W wielu rejonach obwodu grodzieńskiego oraz całej Białorusi urzędnicy robili wszystko, by nie pozwolić na nauczanie języka polskiego w szkołach, tym bardziej na utworzenie polskiej szkoły. Jednak maszyna ruszyła i prace odnośnie wprowadzenia języka polskiego do szkół Grodna, Wołkowyska, Nowogródka, grodzieńskiego i wołkowyskiego rejonów trwały.

Związek Polaków na Białorusi, począwszy od roku 1988 ustawicznie stawiał władzom Grodna, obwodu i republiki wymogi utworzenia w mieście szkoły polskiej. Owym wymaganiom towarzyszyły propozycje. Tak np. ostatnią propozycją była propozycja przekazania gmachu średniej szkoły nr 6 w Grodnie na cele utworzenia w niej polskiej szkoły, gdyż tu działa ona do roku 1939. Oprócz tego grodzieński dział edukacji narodowej zaplanował budowę nowego budynku dla uczniów tej szkoły. Omówienie danego problemu ukazało fakt, że w strukturach grodzieńskiego miejskiego i obwodowego szczebla władzy nie było zgodnego podejścia co do rozwiązania kwestii nauczania w języku polskim w mieście. Np. 5 lutego 1992 r. zastępca kierownika Obwodowego Komitetu Wykonawczego Mikołaj Kołocej w swym liście do ZPB pisał: «[...] Na dzień dzisiejszy nie ma możliwości wydzielenia pomieszczenia dla utworzenia szkoły polskiej [...]». Kołocej zaznaczył, iż wykorzystanie starego pomieszczenia szkoły nr 6 w celu utworzenia tam nowej placówki edukacyjnej zabrania miejski sanepid. Całkowicie inne zdanie w tej sprawie miał kierownik Grodzieńskiego Miejskiego Komitetu Wykonawczego Siemion Domasz. W liście od 6 lutego 1992 r. zapewnił on ZPB, że z przejściem dzieci, pobierających naukę w języku polskim, z poziomu podstawowego na średni, władze miejskie rozwiążą problem utworzenia polskojęzycznej szkoły. Z tego tytułu, że władze obwodowe nie powzięły żadnego konkretnego kroku, by pomóc ZPB w utworzeniu polskiej szkoły w Grodnie, organizacja zmieniła taktykę działalności w tej kwestii. 22 maja 1993 r. podczas posiedzenia Rady Naczelnej ZPB podjęto decyzję o budownictwie polskiej szkoły dzięki pomocy finansowej ze strony Rzeczypospolitej Polskiej. Takie kroki zostały podjęte po konsultacjach i przy wsparciu Stowarzyszenia «Wspólnota Polska» na czele z prof. Andrzejem Stelmachowskim, który też deklarował sfinansowanie budowy polskiej szkoły w Wołkowysku, gdzie również jak w Grodnie istniały polskojęzyczne klasy początkowe ■

Z historii wodociągów grodzieńskich

ANDREJ WASZKIEWICZ

Możliwość korzystania ze źródeł czystej wody od zawsze była istotną sprawą dla mieszkańców każdego miasta. Jeszcze w roku 1541 królowa Bona Sforza zażądała od grodnian uporządkowania starej studni na Rynku miejskim. To była największa studnia miasta z urządzeniem kołowym do podawania wody na górę. W pierwszej połowie XVII stulecia stan gospodarki Grodna znajdował się w stanie rozkwitu, miasto miało w planach nie tylko wybudowanie wodociągu, ale także i pierwszego kamiennego mostu przez Niemen.

Mostu tak i nie zbudowano, ale w 1629 roku burmistrz Grodna Hanus Fandeberek zafundował miastu jeden z pierwszych wodociągów w Wielkim Księstwie Litewskim. Woda do tego wodociągu była podawana z Horodniczanki przy pomocy specjalnego koła do drewnianego rezerwuaru niedaleko synagogi. Z rezerwuaru woda rurami płynęła na Rynek miasta. W dokumentach tamtych czasów tak oto ów fakt został odnotowany: «sławny Hanus Fandeberek – burmistrz miasta Grodzieńskiego... wodę rurami dla pożytku grodnianom jako żydom tako i wszystkim innym dla upiększenia miasta za niemałe własne pieniądze sprowadził». Burmistrz Fandeberek prowadząc rekonstrukcję Rynku, otrzymał od króla Zygmunta III Wazy prawo pobierania dla siebie podatku od towarów przywożonych na sprzedaż do Grodna.



JESZCZE NA POCZĄTKU XX W. W GRODNIE CODZIENNYM WIDOKIEM BYŁY ŚCIEKI, PŁYNĄCE RYNSZTOKIEM PRZEZ MIASTO

Po wybudowaniu pierwszego wodociągu władze miejskie nie poprzestały na już osiągniętych wynikach. Na początku lat 40. XVII stulecia powstał projekt największego na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego wodociągu. 6 maja 1641 roku Wilhelm Pol, cejkwart (opiekun arsenału) z Wilna, napisał list do kogoś z wysokich urzędników z propozycjami co do organizacji zabezpieczenia Grodna wodą. Według tego projektu pobranie wody miało być zorganizowane koło folwarku Putryszki, który w owych czasach należał do Czarneckich. Długość wodociągu od Putryszek do Wileńskiej Bramy miasta i do Starego Zamku miała wynosić mniej więcej 8 kilo-

metrów. Wykopać staw dla wody i zabezpieczyć go mieli kopacze i cieśle z Grodna, a specjaliści od świdrowania rur – rornicy, mieli być zaproszeni z Wilna. Ci ostatni pracowali zgodnie z taryfą – 10 groszy za jedną rurę. Cała praca została wyceniona na 3 tysiące złotych. Na tamte czasy była to droga inwestycja.

Nie mamy jednak potwierdzonej dokumentalnie pewności, czy ten wodociąg został zbudowany. Raczej możemy przypuszczać, że wojna Rzeczypospolitej z Carstwem Moskiewskim i Szwecją (potop szwedzki) na długo położyła kres szerszym robotom w celu uporządkowania Grodna.

Stary wodociąg funkcjonował jeszcze w XVIII wieku, a więc jak już wzmiankowałem, na brzegu Horodniczanki, gdzieś obok Głównej Synagogi, stał drewniany rezerwuar, dokąd woda była podawana z rzeki przy pomocy specjalnych konstrukcji i drewnianymi rurami docierała do Rynku. W tych samych czasach powstał dość interesujący system zabezpieczania wodą manufaktur Antoniego Tyzenhauza na Horodnicy. Woda była podawana do manufaktur oraz do ogrodu botanicznego przy pomocy młynów wodnych i systemu kanałów, które pozwalały mieć w ogrodzie fontanny wysokością aż do dwóch metrów.

W 1795 roku odbył się trzeci rozbiór Rzeczypospolitej, jej ziemie zostały podzielone pomiędzy Rosją, Austria i Prusami. W nowy XIX wiek Grodno weszło jako prowincjonalne miasto Imperium Rosyjskiego. Ten fakt, a także wcześniejsze wojny XVII-XVIII ww., zahamowały rozwój miasta co najmniej o sto lat. W 1816 r. ludność miasta nie sięgała nawet sześciu tysięcy, po czterdziestu latach, w roku 1856, liczba mieszkańców zwiększyła się zaledwie do 19 tysięcy. Wówczas nie można było nawet marzyć ani o kanalizacji, ani o wodociągu.

Na ulicach były drewniane chodniki, a nieczystości ściekały po wyłożonych kamieniem rynsztokach. W roku 1860 generał Paweł Bobrowski pisał o stanie sanitarnym miasta: «Mimo że Grodno znajduje się na miejscu wysokim i odświeża się Niemnem i Horodniczanką powietrze w mieście jest ciężkie i nieprzyjemne».

Dopiero w 1897 roku władze miasta zakazały mieszczanom wylewać nieczystości wprost z okien swoich domów. Do wywożenia zawartości toalet z Grodna były przeznaczone specjalne tabory asenizacyjne, składające się z beczek, które wjeżdżały do miasta o północy i najpóźniej o piątej nad ranem miały je opuścić. Zawartość beczek wywożono na pola w okolice wsi Kulbaki i Podkrzyżaki i wyładowywano do rowów razem z wapnem. Po dwunastu miesiącach włościanie już mieli dobre nawozy dla swoich pól.

W celu poprawy stanu sanitarnego miasta władze rozpoczęły myśleć o budownictwie nowego wodociągu. W roku 1864 kupiec pierwszej gildii Ludwig August Ridingier z Petersburga zwrócił się



Pojenie konia przez dorożkarza na Rynku w Grodnie. 1916 r.

do grodzieńskiego gubernatora z propozycją założenia w Grodnie wodociągu. Kupiec był współwłaścicielem Wileńskiej Fabryki Gazowej, która produkowała materiały chemiczne, w stolicy rosyjskiej zaś miał wielki dom handlowy, gdzie sprzedawano silniki parowe i inną technikę, która była sprowadzana z Europy Zachodniej. Ludwig August Ridingier zaproponował położyć wodociąg z pobraniem wody z Niemna, lecz po to, by wodociąg pracował z zyskiem, trzeba było zabronić grodnianom samodzielnego pobierania wody z rzeki np. beczkami, chociaż wiadrami już mogli. Z tego pomysłu nic nie wyszło, ponownie sprawa wodociągu wróciła na wokandę dopiero po dziesięciu latach. W lipcu 1874 roku Aleksy Derewnicki podpisał z miejskimi władzami kontrakt na budownictwo wodociągu w Grodnie. Przedsiębiorca miał wznieść własnym kosztem rezerwuar dla wody, położyć w całym mieście rury, wznieść fontannę na Rynku i doprowadzić wodę do domów



Andrej Waszkiewicz

Rury kanalizacyjne z Nowego Zamku, położone w latach 30. XX w.

pierwszych 473 chętnych grodnian.

W trakcie planowania tych prac powstała dyskusja w kwestii, skąd ma być pobierana woda – z Niemna czy ze źródeł w granicach miasta. Najpierw myślano o tym, żeby pobierać wodę ze źródeł na lewym brzegu Niemna obok młyna Tarłowskiego naprzeciwko Nowego Zamku. Woda w tych istniejących do dziś źródłach, była uznana za smaczną i dobrą dla przygotowania jedzenia, ale jej z pewnością było za mało dla zabezpieczenia potrzeb całego miasta. Dlatego zdecydowano się na pobranie wody z Niemna powyżej mostu kolejowego. Tam powstała Stacja Filtracji Wody. Filtry – to był budynek z rezerwuarami, w których woda z rzeki przesączała się przez drobny piasek i w taki sposób się oczyszczała. Z filtrów woda pompowała się do wieży ciśnieniowej przy ulicy Tatarskiej (obecnie ul. Swierdłowa), a stamtąd była rozprowadzana po całym mieście rurami, długość których wynosiła z grubsza siedem kilometrów.

24 lutego 1876 roku grodzieński gubernator wysłał telegram do Petersburga o następującej treści: «mam zaszczyt zawiadomić, że wodociągi w Grodnie są otwarte». Po dwustu latach grodnianie ponownie otrzymali własny wodociąg.

Po kilku latach pojawił się pomysł przerzucenia rury wodociągowej na lewy brzeg Niemna. Proponowano położyć rurę po moście kolejowym. Jednak z tego planu zrezygnowano, ponieważ zimą podczas mrozów rura by pękła. Ktoś z miejscowych «znawców historii» proponował nawet poszukać pod rzeką tunelu do klasztoru oo. Franciszkanów, który rzekomo byłby przydatny dla rur wodociągowych. Jak można było się spodziewać, żadnych tuneli pod Niemnem nie znaleziono.

Powstanie nowego wodociągu bardzo pomogło strażakom miejskim, ponieważ co osiemdziesiąt sążni (1 sążeń – 2,134 m) postawiono hydranty, z których można było szybko pobrać wodę dla gaszenia pożaru. Ogółem tak zwane «słupy do rozlewania wody», postawione na placach Siennym, Giełdowym i Rybnym, szybko stały się miejscami spotkań grodnian i swoistymi wizytówkami miasta. Tutaj zawsze można było usłyszeć świeże nowiny z miasta i okolic od dorożkarzy, którzy tu poili swoje konie.

Pod koniec 1912 roku władze rosyjskie podjęły decyzję o budownictwie Twierdzy Grodzieńskiej. Gdyby w wypadku wojny twierdza została otoczona przez armię niemiecką, to w pierścieniu umocnień wraz z mieszkańcami miasta mogło się okazać do sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy rosyjskich. Wodociąg miasta w żaden sposób nie mógł zabezpieczyć wodą stu tysię-



cy ludzi i właśnie dlatego został nakreślony plan dwóch nowych bardzo wydajnych wodociągów. Jednak zabrakło czasu nawet na częściową realizację projektu – początek I wojny światowej przekreślił te plany.

Po okupacji niemieckiej Grodna latem 1915 roku powstała kwestia niezwłocznej modernizacji systemu zabezpieczenia miasta wodą. Niemcy nie chcieli pić wody z Niemna, dlatego latem 1916 roku w pobliżu miasta wywiercono kilka studni dla pobrania wody podziemnej. Woda wytryskiwała strumieniem o wysokości około czterech metrów, a swoimi właściwościami była zbliżona do wody mineralnej.



Rynek grodzieński na początku XX w. z fontanną w centrum

Był nawet lansowany pomysł rozlewania tej wody do butelek i sprzedawania jako «Mineralnej Wody Grodzieńskiej». Przeszkodą do realizacji owego interesu okazał się banalny deficyt korków do butelek. Wszystkie wyprodukowane korki były przeznaczone na potrzeby wojska niemieckiego, a niezakorkowana woda po krótkim czasie już stawała się niesmaczna.

Wiosną 1919 roku armia niemiecka opuściła Grodno, zostawiając po sobie zniszczoną gospodarkę miasta. Grodnianie musieli odbudowywać ją na własny koszt. W marcu 1920 r. do władz miasta zwrócił się kierownik Stacji Filtracji Wody Mikołaj Borowiczko i zaproponował, żeby miasto wzięło na swoje utrzymanie wodociąg. Specjalna komisja magistratu miasta po sprawdzeniu sytuacji złożyła specjalne sprawozdanie. Według niej stan Stacji Filtracji Wody był fatalny. Mostki nad filtrami groziły runięciem, w zbiornikach wody mieszkały kolonie żab. Komisja doszła do wniosku, że to już nie jest odpowiedni budynek do użytku publicznego, ale jego ruina. Kontrakt z 1874 roku pomiędzy miastem a Towarzystwem Wodociągu dobiegał końca dopiero w 1926 roku, ale zaistniała sytuacja potrzebowała szybkich decyzji. Z tego powodu już wiosną 1920 roku wodociąg Grodna stał się własnością miasta.

Całkiem odnowić wodociąg udało się dopiero w połowie lat dwudziestych. W 1927 roku w Grodnie było około 1250 abonentów spożywających wodę. Przez Stację w ciągu roku przepompowano 500 tysięcy metrów sześciennych wody, z których jedną trzecią zużywano do gaszenia pożarów i mycia ulic miasta. Na stacji były cztery filtry, w których co roku całkiem lub częściowo zmieniano piasek. Grodnianin dziennie zużywał około 33-40 litrów wody. Woda z wodociągu nadal była dobrej jakości, ale wodę z 37 miejskich studni trzeba było gotować przed jej użyciem. Stacja filtracji otrzymała też nowe wyposażenie. W roku 1934 miasto planowało kupić urządzenie do chlorowania wody dla zainstalowania go w system wodociągowy.

W okresie międzywojennym, pod koniec lat 20. nadszedł czas pomyśleć o wybudowaniu miejskiej kanalizacji z prawdziwego zdarzenia. Grodzieńscy inżynierowie wyliczyli, że 50 tysięcy ludzi dziennie «produkują» w przybliżeniu 450 ton odpadów kanalizacyjnych, co w ciągu roku składa się na 160 tysięcy ton odpadów. Jeżeli je całkiem wywozić poza miasto przy pomocy beczek, to miasto musiało mieć tabor asenizacyjny na 300 koni i 150 pracowników. Koszty tych prac wynosiłyby z grubsza milion złotych rocznie, na co miasto nie mogło sobie pozwolić. Dlatego dziennie wywożono za miasto tylko 25 procent od zawartości dołów toaletowych Grodna. Reszta albo trafiała do Horodniczanki, albo pozostawała w mieście, zanieczyszczając gleby i studnie.

W latach 1924-1925 magistrat miasta przeprowadził badania polowe i zamówił u inżyniera z Warszawy Wiesława Knakke szkicowy projekt kanalizacji miasta. Projekt polegał na skanalizowaniu ulic Elizy Orzeszkowej, Dominikańskiej, Napoleońskiej i Bośniackiej (teraz są to ulice Orzeszkowej, Sowiecka, Karbyszewa i Socjalistyczna). Pod ulicami Wileńską i Juryzdyką powinien był pojawić się wielki kolektor kanalizacyjny, do którego by zbierano ścieki, zamiast je odprowadzać do Horodniczanki. Realizacja tego projektu miała kosztować miasto 8,5 mln złotych, a razem z badaniami i projektem nawet 11 mln złotych. Taka suma liczyła kilka budżetów rocznych miasta

i nawet nie mogłaby być uzyskana przez otrzymanie kredytu. Dlatego początek budownictwa kanalizacji odłożono prawie na dziesięć lat.

24 maja 1934 roku w obecności prezydenta Grodna Kazimierza Sulistrowskiego założono kamień węgielny kanalizacji miejskiej. Odbyło się to na skrzyżowaniu ulic Rydza-Śmigłego i Policyjnej (dzisiaj Wasilka i Kirowa). Prezydent miasta podkreślił, że budowa kanalizacji ma wielkie znaczenie i rozciągnie się co najmniej na dziesięć lat. Na kawałku pergaminu został spisany uroczysty akt, który włożono do blaszanej skrzynki, zapieczętowano stearyną i zakopano głęboko w kanale kanalizacyjnym.

W tymże 1934 roku wydano na kanalizacje 100 tys. złotych, w następnym roku na ten cel już planowano wydać z kasy miasta 181 tysięcy zł. Kierowali pracami inżynierowie Koziński i Stanisław Bortnowski. Ten ostatni przeżył II wojnę światową i kierował wodociągiem miasta aż do 1947 roku. Od władz miasta opiekę nad budową kanalizacji sprawował wiceprezydent Grodna Roman Sawicki.



Bielenie rynsztoku wapnem na ulicy Grodna. 1916 r.

Pracownikami na placach budowy byli miejscy bezrobotni, których ilość w latach światowego kryzysu ekonomicznego dochodziła w Grodnie do trzech tysięcy. Praca na kanalizacji przynosiła robotnikom przeciętnie dwa złote dziennie. Był to zarobek bardzo niewielki, ale stabilny, dający możliwość bezrobotnym utrzymywać swoje rodziny. Robota była ciężka i wyczerpująca. Ręcznie wykopywano kanały o głębokości czterech i pół metra, a studnie kanalizacyjne osiągały głębokość aż siedmiu metrów.

Całkiem zrealizować plany przedwojennych inżynierów jednak się nie udało. Dla przykładu w październiku 1938 roku dyskutowano o projekcie uporządkowania brzegów Horodniczanki od ulicy Wileńskiej do Niemna. Chciano zabetonować albo wyłożyć kamieniem koryto rzeki, a bulwar nad nią wysadzić drzewami. Także został nakreślony plan stacji oczyszczania ścieków kanalizacyjnych. Stacja miała powstać za betoniarnią miejską przy ulicy Rybackiej, ale już 1 września 1939 roku na miasto spadły pierwsze niemieckie bomby... i własną stację oczyszczania ścieków Grodno otrzymało dopiero po trzydziestu latach.

W latach powojennych sytuacja demograficzna w Grodnie całkiem się zmieniła. Jeśli w roku 1959 w naszym mieście mieszkały 72 tysiące ludzi, to w roku 1990 już 284 tysiące. Taka ilość mieszkańców potrzebowała przekształcenia grodzieńskiego wodociągu w wielki system. Już od połowy lat 60. XX w. Grodno jest zabezpieczone przeważnie wodą podziemną, a od 2000 roku grodnianie wcale nie używają wody z Niemna. Każdego dnia ponad 120 studni podziemnych zabezpiecza miasto w 100 tysięcy m^3 czystej wody, która odpowiada najwyższym standardom światowym.

Z satysfakcją zaznaczam, że pracownicy wodociągów grodzieńskich biorą aktywny udział w programach współpracy transgranicznej, dotyczących polepszenia stanu ekologii miasta i całego regionu bałtyckiego. W ramach współpracy z Unią Europejską wodociągi grodzieńskie otrzymali samochód «Assman» z urządzeniami do oczyszczania kanalizacji, a także systemy dla wizualnych badań wnętrz rur kanalizacyjnych.

Dzisiaj w systemie wodociągów Grodna pracuje ponad siedemset osób. Są to ludzie o wysokim poziomie kwalifikacji i wiedzy profesjonalnej, a także patrioci swojego miasta, którzy robią wiele, żeby zachować dobrą pamięć o swoich poprzednikach i o sławnych tradycjach swojej branży ■



Maurycy FRĄCKOWIAK

Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Janowie Poleskim

Wyprawa do okolic Pińska

Maurycy FRĄCKOWIAK

W ubiegłym roku zwiedzałem Polesie z grupą rodaków z Polski. W poprzednim numerze «Magazynu Polskiego» opisałem naszą wyprawę, dzisiaj kontynuuję opisanie moich wrażeń o naszej podróży w tamte strony. Po opuszczeniu Pińska udaliśmy się w drogę do oddalonego o 30 km Janowa Poleskiego. Jeszcze w XVI wieku miejscowość ta była wioską o nazwie Parchowa. W 1423 r. nadano ją, jako uposażenie, kościołowi w Łucku. Już w 1465 r. wieś zmieniła nazwę na Janów Poleski i otrzymała prawa miejskie.

Po trzecim rozbiorze Polski (1795) Janów zagarnęła Rosja. We wrześniu 1939 r. miasteczko było jednym z wielu miast Podlasia i Polesia, gdzie obywatele polscy żydowskiego pochodzenia wzięli broń do ręki, aby użyć jej przeciwko polskim żołnierzom, policjantom, urzędnikom oraz cywilnym uciekinierom z Polski centralnej i zachodniej.

Obecnie miasto liczy ponad 16 tys. mieszkańców i jest powszechnie znane jako miejsce okrutnej kaźni św. Andrzeja Boboli. Po przybyciu na rynek Janowa ujrzeliśmy cerkiew, a w jej pobliżu – niewielki kościół katolicki z 1842 r. pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Po wojnie kościół zamieniono na kino, a później ulokowano w nim magazyn. Wierni odzyskali świątynię dopiero w 1995 roku.

Kościół jest ogrodzony murem z cegieł. Obecny ksiądz, udostępnił nam jego wnętrze. Jest ono bardzo skromne. Na ścianach ocalało kilka epitafii z polskimi nazwiskami. Najcenniejszym elementem wyposażenia jest niewątpliwie relikwiarz z widocznym fragmentem żebra św. Andrzeja Boboli. Sympatyczny ksiądz oprowadził nas po terenie świątyni, a następnie pokazał miejsce tuż za ogrodzeniem prawej strony cerkwi, gdzie stała rzeźnia, w której zamordowano Świętego.

Byłem niezwykle poruszony tym, że dane mi było stanąć na miejscu kaźni świętego Męczennika.

Andrzej Bobola urodził się 30 października 1591 r. w Strachocinie k. Sanoka w rodzinie szlacheckiej. Był uczniem szkoły jezuickiej w Braniewie. W 1611 r. wstąpił do zakonu jezuitów. W marcu 1622 r. otrzymał święcenia kapłańskie i rozpoczął pracę duszpasterską w Nieświeżu. Następnie przebywał jako kapłan w Bobrujsku, Wilnie, Płocku, Warszawie, Łomży i Pińsku, gdzie został rektorem kolegium jezuitów. W ostatnich latach życia pracował głównie jako misjonarz na Podlasiu. Sukcesy misyjne sprawiły, że stał się wrogiem politycznym kozaków z powodu nawracania ruskiej ludności prawosławnej na katolicyzm.

Podczas kolejnej wyprawy misyjnej 16 maja 1657 r. został uprzedzony, że ściga go oddział kozacki. Wraz z woźnicą Janem Domańskim ratowali się ucieczką. W odległości 4 km od Janowa kozacy dogonili wóz uciekinierów. Woźnica zdołał zbiec do lasu, a Andrzeja Bobolę pojmano i przytroczono pomiędzy dwa konie. Bity nahajkami i kłuty lancą, biegł pomiędzy końmi do Janowa.

Na rynku miasta stała drewniana jatka, w której zabijano i oprawiano zwierzęta. Do jej wnętrza zaciągnięto ofiarę, rzucono na stół, wybito zęby i wykłuto prawe oko. Następnie powieszono za nogi u powały i przypalano ogniem, wbijano drzazgi za paznokcie, zdzierano skórę z piersi, rąk i głowy, odcięto kilka palców, nos i wargi, wyrwano język. Dwugodzinne tortury zakończyły ciosy szablą. Niebawem kozacy umknęli przed nadciągającym oddziałem polskiej jazdy. Zmasakrowane zwłoki przewieziono do Pińska i pochowano w krypcie kościoła jezuitów. W październiku 1853 r. Andrzeja Bobolę ogłoszono Błogosławionym, a w 1938 r. – Świętym.

W Janowie Poleskim pochowano znakomitego rysownika Napoleona Ordę. Niestety cmentarz i grób zostały zniszczone w 1980 roku, podczas budowy szkoły.

Dalsza droga wiodła przez Drohiczyn do wioski Nowa Popina. Tam skręciliśmy w lewo i niebawem ujrzałem tablicę z napisem Ludwinowo. Tak ziściło się jedno z moich marzeń.

Ludwinowo to typowa ulicówka, rozciągnięta na przestrzeni około 2 km. Rozglądaliśmy się z okien pojazdu poszukując starodrzewia, wskazującego na dawny park dworski. Przy końcu wsi ujrzałem starszego mężczyznę i wysiadłem z autobusu. Ten pokazał nam, że mamy jechać dalej i po lewej stronie drogi znajdziemy to, czego szukamy. Zdziwiłem się, gdyż widziałem nieodległy koniec wioski i puste pole za nim, ale ruszyliśmy i po przejechaniu 300 metrów rzeczywiście ukazało się rozległe pole, a na nim jedyna ocalała budowla podworska z cegieł, prawdopodobnie dawny cielętnik. W pobliżu rosło kilka starych lip, samotna jabłoń oraz kopczyk, na którym posadowiono głaz. Do głazu wiedzie wyłożona płytami dróżka. Na głazie przymocowano tablicę granitową z mało czytelnym napisem w języku białoruskim: «W miejscowości Ludwinowo (Ludwinów) w okresie od 1858-1864 mieszkała pisarka oraz wybitna działaczka ruchu wyzwolenia Białorusi Eliza Orzeszko (1841-1910)». Tyle pozostało z założenia dworskiego Orzeszków…

W roku 1858 młoda Eliza Pawłowska poślubiła 33-letniego Piotra Orzeszkę. Po wybuchu powstania styczniowego udzielała pomocy powstańcom, m.in. ukrywając w Ludwinowie i Zakozielu ostatniego przywódcę powstania styczniowego Romualda Traugutta. Zdrada sługi sprawiła, że władze carskie aresztowały i zesłały Piotra Orzeszkę oraz nakazały przymusową sprzedaż dóbr ludwinowskich. Piotr Orzeszko był przeciwnikiem powstania. Pomimo to, gdy jego młoda małżonka Eliza zaangażowała się w pomoc powstańcom, wspierał ją bez słowa protestu. Zapłacił za to bardzo wysoką cenę. Stracił bowiem wolność, rodzinny majątek oraz żonę. Przyszła pisarka nie postąpiła bowiem wzorem innych wiernych żon i nie podążyła za mężem zesłańcem.

W późniejszych latach Eliza tak pisała o majątku męża: «Ludwinów był bardzo ładną wioską poleską, otoczoną lasem, z wielkim i prześlicznym ogrodem, w którym jedna szczególnie aleja ze starych kasztanów posiadała królewską niemal wspaniałość. Dom był obszerny i wygodny, ale pod strzechą



Relikwiarz z fragmentem żebra św. Andrzeja Boboli


Maurycy FRĄCKOWIAK

GROBOWIEC RODU ORZESZKÓW W ZAKOZIELU

jeszcze, wiała zeń stara i wiecznie piękna poezja szlacheckich dworów naszych». Dwór rozebrał jeden z kolejnych właścicieli Ludwinowa.

W drodze powrotnej ujrzałem we wsi mały murowany obiekt, na którym widniała informacja, iż mieści się w nim izba pamięci poświęcona pisarce. Niestety była zamknięta.

Wróciliśmy do skrzyżowania dróg i skręciliśmy w prawo. Niebawem ukazała się tablica z nazwą miejscowości Zakoziel. Jest to wieś położona ok. 10 km na południowy zachód od Drohiczyna. Przez ponad 100 lat był to majątek Orzeszków, pieczętujących się herbem Korab. W 1820 r. zbudowano tu obszerny dwór, który składał się z korpusu głównego i dwóch oficyn, posadowionych w jednej linii. Część główna była nieco wyższa szersza od oficyn i mieściły się w niej drzwi wejściowe. W połowie XIX w. właścicielem Zakoziela był Kalikst Orzeszko, stryjeczny brat Piotra Orzeszki.

Chciałem odnaleźć pozostałości dworu i słynnej kaplicy cmentarnej, w której ukrywano Romualda Traugutta, ostatniego przywódcę powstania styczniowego. Wiedziałem, że ongiś dwór widniał na osi alei lipowej, która doń wiodła. Pomaszerowaliśmy resztkami owej alei i ujrzeliśmy ślady dawnego dworu. Znałem jego historyczny wygląd więc ustaliłem, że to co widać, jest zapewne ścianą frontową lewej oficyny. Jej cechą charakterystyczną jest – dobrze zachowany – rząd przyściennych kolumn. Dwór został zniszczony w 1944 r., zaś odbudowana oficyna służy obecnie jako budynek mieszkalny.

Wróciliśmy na rozstaje dróg i pomaszerowaliśmy w lewo. Niebawem ukazała się brama z cegieł, wiodąca na teren rozległego parku. Tuż za bramą, na jego skraju, stoją ruiny dawnej kaplicy grobowej Orzeszków, wzniesionej w 1838 r. na sztucznie usypanym pagórku. Jest to niezwykle piękny obiekt neogotyckiej architektury cmentarnej. Niestety, pomimo umieszczonej na ścianie tabliczki informacyjnej, iż jest to chroniony zabytek kultury, widać brak troski o jego zachowanie. Bez natychmiastowej interwencji runą niebawem z dachu unikalne metalowe sterczyny i rynny ozdobne. Wydaje się, że wkrótce znikną również pozostałości pięknego, kryształowego sklepienia kaplicy. To właśnie nad tym sklepieniem znajduje się małe pomieszczenie, w którym rodzina Orzeszków ukrywała rannego Romualda Traugutta. Widać, że ktoś wykuł w stropie otwór, aby dostać się do tego pomieszczenia. Ciekawe w jakim celu? Stwierdziłem, że krypty grobowe zabezpieczono przed dostępem osób postronnych, lecz nie widać w nich śladu po trumnach dawnych właścicieli Zakoziela.

Myślę, że ów cenny obiekt powinien przetrwać dla potomnych i chcę wierzyć, że kaplica zostanie uratowana przed zniszczeniem. To bodaj ostatni moment, aby temu zapobiec! ■

Mikołaj Kopernik w Wilnie

W drodze do stolicy WKL zanocował na zamku w Grodnie

Mieczysław JACKIEWICZ

Powszechnie wiadomo, że Mikołaj Kopernik urodził się w 1473 roku w Toruniu, uczęszczał do szkoły katedralnej we Włocławku, następnie na przełomie lat 1491/1492 rozpoczął studia na Akademii Krakowskiej.

W 1496 roku studiował w Bolonii prawo, a w 1500 r. odbywał z bratem Andrzejem Kopernikiem praktykę prawniczą w kancelarii papieskiej w Rzymie. W 1503 r. w Padwie we Włoszech ukończył studia medyczne i uzyskał prawo do wykonywania praktyki lekarskiej.

Od 1505 roku przebywał w Lidzbarku Warmińskim na dworze wuja biskupa Łukasza Watzenrode jako osobisty lekarz biskupa. W tym okresie z wujem Łukaszem Watzenrode Kopernik odwiedził Wilno, gdzie leczył chorego króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego Aleksandra Jagiellończyka. O tym szczegółowo pisze biograf Astronoma Jerzy Sikorski w książce «Prywatne życie Mikołaja Kopernika».

– 18 marca 1506 roku – pisze Sikorski – król prosił Watzenrodego o przybycie do jego dworu w Wilnie, dla narady w sprawach pruskich. Na to zaproszenie Watzenrode chętnie przystał. Olbrzymi orszak biskupi z prowiantem na wozach, z eskortą konną, z towarzyszeniem licznych sług dworzan, wśród których niebezzasadnie upatrujemy też Kopernika, wyruszył z Lidzbarka 21 kwietnia 1506 roku. (…)



Mikołaj Kopernik

Orszak ugościł noclegiem komtur krzyżacki w Rynie, następnie przez Ełk udali się do Grodna, gdzie nocowali na tamtejszym zamku. Może już w drodze, zanim przybyli do Wilna, doszła ich wiadomość, że «król rażony apopleksją, zdany na medyków-niedouków (medici indocti et idiote), był prawie bezradny.

Król był jeszcze na tyle sprawny, że audiencja doszła do skutku. Choć może nie od razu, bo dopiero 11 maja Watzenrode przekazał o niej wiadomość wielkiemu mistrzowi. Dwa tygodnie zatem trwał już pobyt w Wilnie i nie spieszono z odjazdem. Czy może było już oczywiste, że są to ostatnie dni króla Aleksandra?

W sumie ponad trzy tygodnie trwał pobyt u dworu. «Nie sposób odrzucić myśl, żeby obecność Kopernika jako lekarza nie okazała się przydatna. Biskup przedstawił królowi jakiś projekt rozwiązania kwestii krzyżackiej, w którym rolę wielkiego mistrza traktowano jako partnera do rozmów, a nie jako wroga na polu walki. Król zgodził się, aby pełnomocnicy obu stron zjechali się u starosty Ambrożego Pampowskiego w Malborku. Na odjezdnym król obdarował biskupa futrem. Wyjazd najwyraźniej opóźniał się i nastąpił ostatecznie nie wcześniej niż po 20 maja. Biskup postanowił ze swoją świtą wracać drogami wodnymi. (…) Watzenrode ze świtą odbywał jak gdyby podróż krajoznawczą. Czy nie z myślą o siostrzeńcu Mikołaju? Był to bowiem spływ Wilią do Niemna i dalej Niemnem do Ragnety, gdzie podejmował gości noclegiem na swoim zamku tamtejszy komtur.

Kolejny etap spływu wiódł Niemnem przez Tylżę (obecnie Sowietsk – M.J.) do Zalewu Kurońskiego, po czym na rozwiniętych żaglach wzdłuż Zalewu na południe do portu w Labawie (obecnie Polessk – M.J.). Tu również nastąpił nocleg na zamku komturskim. Tu także dotarły z Wilna drogą lądową biskupie wozy, ponieważ dalsza podróż miała odbywać się lądem przez Tapiewo (obecnie Gwardiejsk – M.J.) wprost do Lidzbarka».

Z relacji Jerzego Sikorskiego, opartej na dokumentach archiwalnych, wynika, że 33-letni Mikołaj Kopernik przebywał w Wilnie ponad trzy tygodnie. Zapewne spacerował po ulicach miasta, być może i w grodzie nad Wilią spoglądał w gwiaździste wileńskie niebo. Leczył króla Aleksandra I Jagiellończyka, jednakże wyleczyć nie zdołał, bowiem król zmarł 19 sierpnia 1506 roku w wieku 45 lat. Został pochowany w katedrze wileńskiej. Fakt ten został upamiętniony przez współczesnego kronikarza: «Oto ten jedyny król Polski, który spoczywa na ziemi litewskiej» ■



Sokrat Janowicz

Tęsknota do małej ojczyzny

Katarzyna Konczewska

Nasi przodkowie uważali za niegodnych zaufania tych, którzy nie znali historii swego rodu w kilku pokoleniach. Kulturowe dziedzictwo dodawało człowiekowi wiary w siebie i pewności w jutrzejszym dniu.

Ludzie tęsknią dzisiaj do ojczyzny, a zamiast niej przyznaje się im tylko państwa. Ojczyzna jest organiczna, wrośnięta w przeszłość, zawsze nieduża, grzejąca serce, bliska jak własne ciało.

Czesław Miłosz

Współczesna babilońska Europa być może i daje nam pewien komfort pod względem dobrobytu czy swobodnego poruszania się bez granic, ale jednocześnie niesie ze sobą groźbę unifikacji, w tym kultury i języka. Jest to dość groźne zjawisko, z którego skutków nie do końca zdajemy sobie sprawę. Pojawia się pokolenie ludzi wykorzenionych, którzy nie potrafią określić swej tożsamości, identyfikować się z jakąś konkretną kulturą czy narodowością. Dążąc za wszelką cenę do wyrwania się z rodzinnej małomiasteczkowości w wielki świat, pełny blasku i pozorów kosmopolitycznego szczęścia, bez żalu odrywamy się od własnych korzeni – innych, niestety, nie odnajdując. W tej światowej gonitwie za niebieskim ptakiem dobrobytu zapominamy, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy i co przekażemy swoim dzieciom, żeby wiedziały, kim są. Wstydzimy się swych wsi i miasteczek, więc uciekamy do ogni dużego miasta, które już nie pozwalają nam dostrzec walorów tego, co rodzinne i bliskie – swojej małej ojczyzny.



Katarzyna KONCZEWSKA

Wilno jest miastem ważnym dla mieszkańców Kresów

«Paradoksem małej ojczyzny – pisał Sokrat Janowicz – jest to, że tkwiąc w niej, nie lubi się jej». Sokrat Janowicz – pisarz, publicysta, działacz społeczny – był wiernym synem swojej małej ojczyzny – Krynek, miasteczka, którego historia i losy są podobne do wielu innych miasteczek rozsianych na dawnych kresach wschodnich – pograniczu narodów, wyznań, kultur, języków. Był oddany tej ziemi bez względu na dzieje historyczne, nieraz tragiczne, i przemieszczenie granic. Był prawosławnym Białorusinem.

Dołączmy jego głos do dialogu wartości kultur małych ojczyzn zawartego w twórczości współczesnych pisarzy pochodzących z białorusko-polsko-litewskiego pogranicza: Tadeusza Konwickiego, który niedługo przez śmiercią odkrył się czytelnikom na nowo w publikacji «W pośpiechu», i Aleksandra Jurewicza, którego twórczość jest swoistym poszukiwaniem utraconej ojczyzny. Trzej pisarze, trzy spojrzenia na małą ojczyznę. Każdy z nich ów wspomniany Sokratowski «paradoks małej ojczyzny» widział na swój sposób.

Sokrat Janowicz zauważał, że «pojęcie małej ojczyzny utożsamia się z najpierwszą pamięcią. [...] Termin «mała ojczyzna» implikuje istnienie «dużej ojczyzny». Tę pierwszą, zaczątkową, ma się raz na zawsze, niczym owe miejsce urodzenia. Druga natomiast jest kategorią wybitnie ideologiczną, kojarzącą się z przynależnością państwową». Burzliwy wiek XX nieraz zmieniał tę państwowość zaskakująco często. Sokrat Janowicz wspominał: «W 1936 roku powiększyłem liczbę obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Po trzech latach moją dużą ojczyzną stał się ZSSR, a po kolejnych dwóch latach znalazłem się w Nowych Prusach Wschodnich, czyli w III Rzeszy Niemieckiej, anektującej te ziemie. Ciągle biegając po tych samych zaułkach swego miasteczka lub kąpiąc się w pobliskiej rzeczułce Krynka, nigdzie nie ruszając się poza wzniesienie Prafitka na skraju horyzontu, odbyłem jak gdyby parę podróży zagranicznych... Różne ojczyzny pochłaniały moją jedyną małą».

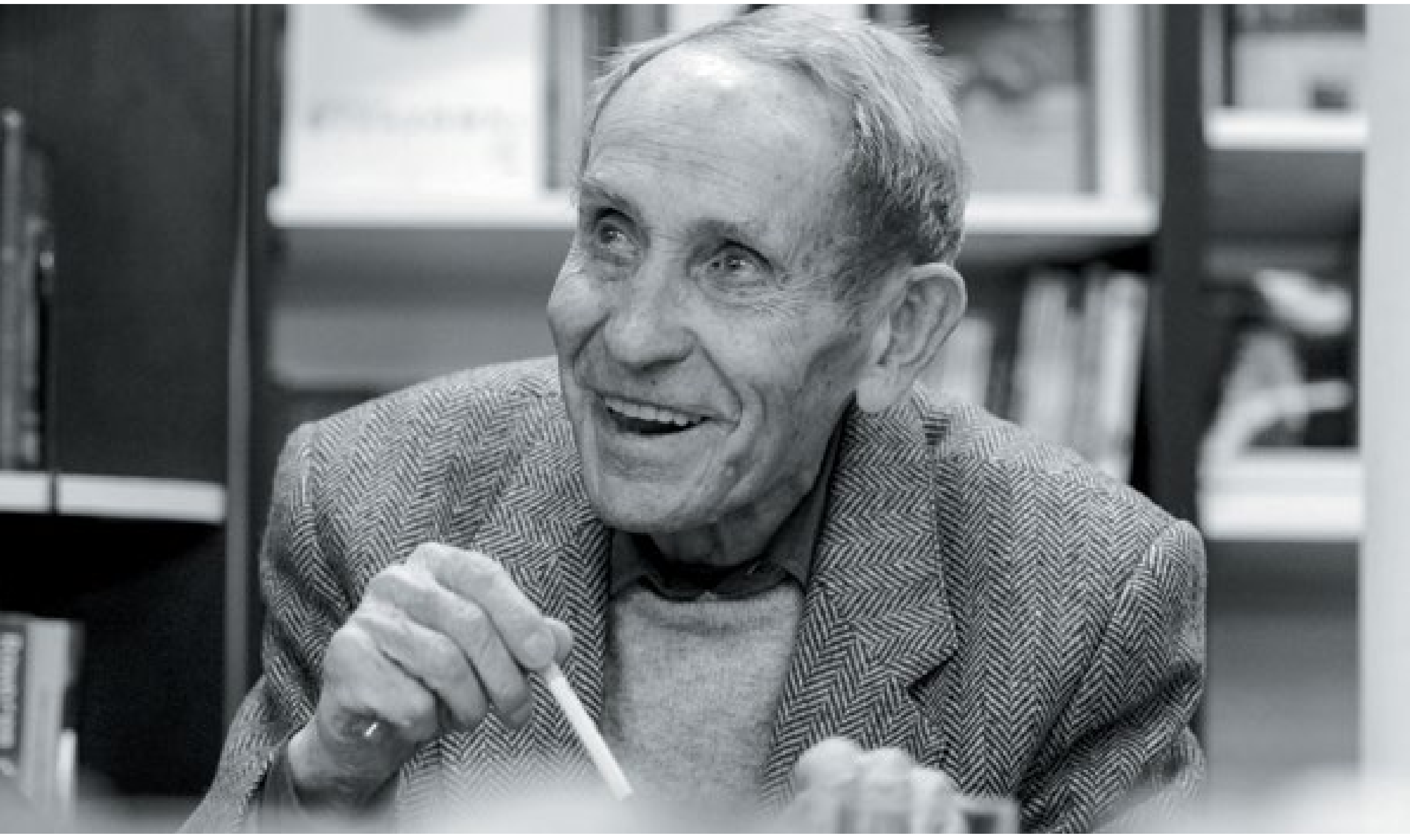
Może dlatego mała ojczyzna Janowicza miała «wydźwięk zdecydowanie dramatyczny». Oczywiście te ciągłe zmiany państwowości i wynikające z nich nieuchronne wpływy innych kultur miały swoje następstwa. Przejawiały się one nie tylko w postaci kolejnego dokumentu tożsamości z wpisanymi na nowo imieniem i nazwiskiem, lecz także w języku, wyznaniu, światopoglądzie. W małych Krynkach prawie każdy był poliglotą: «Białoruszczyzna uchodziła za normalną w codziennym bytowaniu, rosyjski

nadawał się do cerkwi i konwersacji z Panem Bogiem, polski znakomicie dowartościowywał jednostkę w jej chętkach wywyższenia się ponad pospólstwo, po niemiecku pisano podania do różnych «amtów» lub listy do mężów i ojców w niewoli gdzieś w Saksonii albo w Prusach; ukraiński pasował do anegdot. Niemal pięciojęzycze indukowało schizofreniczne rozszczepienie jaźni, a w praktyce kończyło się tym, że w miarę przyzwoicie nie potrafiono posługiwać się żadnym z wymienionych języków».

Bardzo ważny wpływ na formowanie światopoglądu zamieszkującej tereny przygraniczne ludności miały zarówno pamięć historyczna i genetyczna, jak i konfesja. Z tym że, jak zauważa Janowicz, «pragmatyzm chłopski nie ceni idei narodowej», a konfesje zmieniały się równie szybko, jak i państwowość: «cztery konfesje, po kolei lub równolegle, przeorały mentalność Białorusina, by, zatoczywszy olbrzymie koło, wszystko to wróciło dziś do stanu wyjściowego jak gdyby».

Nieustanna mieszanina państwowości, języków, konfesji powodowała nie tylko wspomniane «rozszczepienie jaźni»: trudne bytowanie w zacofanych z reguły małych miejscowościach przejawiało się także coraz bardziej rosnącą chęcią wyrwania się wszelkim kosztem w wielki świat i zapomnienia jak najszybciej owej mieściny, w której się wiodło ciężki żywot. Sokrat Janowicz rozumiał to jak nikt inny: «Trudno być patriotą tej ziemi, która, prócz cierpień, nic ponadto nie pozostawiła w najpierwszej pamięci». Jednak zaznaczał przy tym, że «zwrot ku małym ojczyznom to konieczność dziejowa».

Praca Sokrata Janowicza w «Niwie» niewidzialną nicią związała go z Tadeuszem Konwickim, którego twórczość także była nieoderwalna od jego małej ojczyzny – Kolonii Wileńskiej. Nazywał ją «wielkim kontynentem swojej młodości», zaznaczając: «To był cały wielki świat, który kiedyś zamknął swoje granice w mojej świadomości i większego już nigdy nie poznałem». Konwicki tak wspominał tamten epizod z «Niwą»: «Kilka lat temu zwrócił się do mnie z ankietowym pytaniem białoruski periodyk «Niwa» wychodzący w Białymstoku». Odpowiedzią na pytanie «co zawdzięcza Pan Białorusi?» była piękna dygresja w «Kalendarzu i klepsydrze», w której Konwicki nazwał Białoruś «Dobrorusią, Dobrą Ziemią Dobrych Ludzi». Odpowiedzią było także zastanowienie się nad paradoksami małej ojczyzny tym razem Tadeusza Konwickiego: «Po jakiemu ja w dzieciństwie mówiłem? Czy «po prostemu», czy «po miastowemu»? Czy więcej słów, bajek, pieśni słyszałem białoruskich, czy polskich? Ile razy i kiedy przekraczałem tę niedostrzegalną granicę między białoruskością i polskością?». W jednym z wywiadów Konwicki wyznawał: «Jestem produktem jakiegoś takiego misz-maszu, sam



Tadeusz Konwicki

nie wiem, ile we mnie krwi litewskiej, białoruskiej czy polskiej». Wspominając swoje korzenie, zaznaczał: «Urodziłem się i wychowałem w kresowym, silnie zhierarchizowanym i patriarchalnym społeczeństwie». Nie umiejąc się odnaleźć przede wszystkim mentalnie w Polsce, do której trafił w 1945 roku, tuż po partyzantce, o sobie nieraz mówił: «Jestem cudzoziemcem tranzytowym», podkreślając tym samym, że po wymuszonym opuszczeniu swojej małej ojczyzny już nigdzie nie czuł się jak w domu: «Chcę zostać taki, jaki się narodziłem w Nowej Wilejce». Przyznawał, że ma ciągłą nostalgię, która «chwyta za resztki włosów pośrodku białego dnia w Warszawie, w Paryżu czy na Manhattanie».

Tadeusz Konwicki bardzo często wspominał swą małą ojczyznę, jej tradycje i obyczajowości: «Ech, wilnianie, wilnianie, my lubim wysoko. Albo z Bogiem, albo ze stryczkiem»; «u nas się w Wilnie ceniło pracę realną – z której coś powstawało praktycznego, korzystnego dla innych»; «u nas na Wileńszczyźnie zadawanie pytań było chamstwem towarzyskim»; «w obyczajowości wileńskiej [...] nie eksponowało się uczuć»; «pieniądz na Wileńszczyźnie u nas cieszył się złą sławą»; «u nas, na Wileńszczyźnie, kolęda była może nawet większym wydarzeniem niż u was tutaj święto 3 Maja».



Irena Waluś

Kościół katolicki w Krupowie koło Lidy

W małej ojczyźnie Konwickiego duchowość nabierała szczególnego wymiaru: «Myśmy mieli swojego własnego Boga. [...] Myśmy mieli – mówię w imieniu nas tam mieszkających – tego Boga bardzo osobistego. Boga bardzo bliskiego. [...] To było przede wszystkim dla nas pożyteczne, czuliśmy czyjąś nadrzędną obecność, bliskość i coś, co budziło nasze zaufanie i naszą ochotę do życia».

Ze smutkiem wspominał Tadeusz Konwicki tę swoją Wileńszczyznę, «której już nie ma i nigdy nie będzie», mówiąc: «Nie ma już krainy mojego dzieciństwa. Żyje ona tylko we mnie i razem ze mną rozsypie się w proch którejś nadbiegającej z nicości godziny». Zaś jego ciągle powtarzające się «u nas na Wileńszczyźnie» obok «u was tutaj», wypowiedziane w 2011 roku, wymownie świadczy o tym, że człowiek, którego mianują «jednym z najważniejszych polskich pisarzy i filmowców», a który sam mówił o sobie: «Ja jestem stary, wileński chytrus», duszą jednak pozostał na zawsze tam, w Kolonii Wileńskiej, swojej małej ojczyźnie.

W udzielonym po dość długim milczeniu, niepisaniu, niewznawianiu publikacji i unikaniu dziennikarzy wywiadzie «W pośpiechu» Tadeusz Konwicki wspomniał «literatę, kolegę w Gdańsku» Aleksandra Jurewicza.

Aleksander Jurewicz, urodzony 18 listopada 1952 roku jako syn Michała Jurewicza i Janiny z domu Łapian i zamieszkały koło Lidy, przyjechał do Polski wraz z rodzicami we wrześniu 1957 roku. Rodzina osiadła we wsi Redło, niedaleko Połczyna Zdroju w woj. koszalińskim. Obecnie pisarz mieszka w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie po wojnie osiadło wielu byłych lidzian, grodnian, wilnian oraz innych przesiedleńców z Kresów,



Aleksander Jurewicz

którzy w czasach powojennych stanowili około 10 procent ogółu mieszkańców ówczesnego województwa gdańskiego, a ponad 20 procent ludności napływowej. Jednak mimo tego, że mieszkają tam od ponad pół wieku, nadal tęsknią do swojej małej ojczyzny, którą przyszło opuścić.

Czesław Miłosz na ową tęsknotę podawał taką receptę: «Kto pożegna swój kraj, jego krajobrazy i obyczaje, zostaje rzucony na ziemię niczyją podobną do pustyni. […] Wtedy jedynym sposobem przeciwko utracie orientacji, jest ustanowić na nowo własne północ, wschód, zachód, południe». Aleksander Jurewicz miał swój kierunkowskaz: «Kilka szczegółów tamtego świata, zwłaszcza chwila wyjazdu, tkwiło mocno w mojej pamięci. Płacz... Ciągle pamiętam swój płacz, kiedy wyjeżdżałem stamtąd. Zawsze, ilekroć później coś niedobrego wydarzało się w moim życiu, tamten dziecięcy lament powracał. To był podstawowy kierunkowskaz, który naprowadził mnie na Lidę».

Pisarz tak wyjaśniał genezę powstania książki «Lida», uhonorowanej Nagrodą Czesława Miłosza i Nagrodą Fundacji im. Marii i Jerzego Kuncewiczów: «Nie potrafię do końca tego wytłumaczyć, ale wiedziałem, że jeżeli nie wyduszę z siebie tej przesiedleńczej opowieści, to moje życie nie będzie do końca pełne, że będzie w nim jakiś cień, jakaś nie do końca załatwiona sprawa». Jednak ta «przesiedleńcza opowieść» wydłużyła się o kolejne utwory: «Pan Bóg nie słyszy głuchych» (1995), «Prawdziwa ballada o miłości» (2002), «Dzień przed końcem świata» (2008), w których wspomnienia z dzieciństwa powracają znowu i znowu, nie pozwalając już nigdy uciec od dziecięcego skowytu: «Ja nie chaczu u Polszu».

Mieszkająca na Grodzieńszczyźnie, Nowogródczyźnie czy Wileńszczyźnie ludność polska za swą ojczyznę uważała tę właśnie ziemię, na której żyła od pokoleń,



Lida w okresie międzywojennym

wcale nie zamierzając jej opuszczać. Ta świadomość ojczyzny pozostała w sercach na zawsze. Miejscowi Polacy nie chcieli zostawiać rodzimej ziemi. Powojenna tak zwana repatriacja dla większości była wymuszoną emigracją. Razem z pierwszą falą, tuż po wojnie, wyjechali ci, którzy po doświadczeniach 1939 roku od «drugich Sowietów» nie oczekiwali nic dobrego (jeden z bohaterów Aleksandra Jurewicza mówi: «A za takie oswobodzenie pieńknie dzieńkuje i prosze żeb mnie to było ostatni raz»). Ci, którzy zostali, mieli nadzieję, że «nowa władza prędko się stąd zabierze, że dawna Polska tutaj nastanie z powrotem». Rzeczywistość – «przyszło żyć jak nie na swoim i nie u siebie» – zmusiła ich do decyzji o wyjeździe z drugą falą, bo «nie można cały czas żyć jak na wygnaniu u obcych».

Taki sam los spotkał Lidę, o której Aleksander Jurewicz mówi tak: «Nigdy nie pożegnałem tego miasta//Nigdy nie nauczę się tego miasta//Budzę się ciągle na jego ulicach...». Dlaczego właśnie Lida? Przecież autor przez krótki okres wspomnianego dzieciństwa mieszkał w Krupie (dzisiejsze Krupowo), wiosce oddalonej od Lidy o kilka kilometrów, i z powieści dowiadujemy się, że «chłopiec parę razy był w tamtym miasteczku, lecz nigdy sam. Nigdy też nie udało mu się dojść do Lidy samemu». Dowiadujemy się także, że w Lidzie pracował ojciec, a dziadek w lidzkim więzieniu «stracił słuch na prawe ucho – najpierw zamknięty przez Niemców za handel mięsem, a potem przez Rosjan». Z Lidą również częściowo są związane losy bohaterów «Prawdziwej ballady o miłości», którą Jurewicz dedykował swojej matce. Pięcioletniemu dziecku zaś najbardziej utkwił w pamięci lidzki dworzec kolejowy, na którym chłopczyk musiał pożegnać cały swój dotychczasowy świat, by już nigdy go nie odnaleźć, ponieważ tamta Lida, jak i Kolonia Wileńska Tadeusza Konwickiego, przestała istnieć, pozostając tylko w pamięci opuszczających ją na zawsze Polaków.

Powieści Aleksandra Jurewicza stały się swoistym świadectwem tamtego miasta, które żyje już tylko w pamięci coraz mniej licznych jego dawnych mieszkańców, rozsianych po całej Polsce. W jego utworach zostały upamiętnione miejscowe imiona, często przymusowo zmieniane później w sowieckich paszportach: Zenak, Wacak, Jania, Ludwik, Malwina, Alik, Janek, Władyś, Czesiek, Stefania, Stefan, Witek, Danusia, Oleś, Elżunia, Bronuś, Irenka, Adela, Tereseńka, Antoś. Aleksander Jurewicz, jak i Tadeusz Konwicki, i Sokrat Janowicz, na kartach swych powieści opowiada historię swej małej ojczyzny i troskliwie przekazuje pieczołowicie zachowywane miejscowe tradycje: kult Matki Bożej Ostrobramskiej, która zawsze «pomagała swoją obecnością i chroniła», i św. Antoniego («Niech się stanie wola twoja, niech się znajdzie zguba moja...»), z którym jedna z bohaterek rozmawia «tak często, że uważa go prawie za dobrego znajomego lub nawet dalekiego kuzyna»; wystawianie w oknie zapalonej gromnicy, by «chroniła przed letnimi burzami»; wieczór wigilijny («Jaka ja jestem głodna, cały dzień pościłam», «Nie



Cerkiew w Krynkach, rodzinnej miejscowości Sokrata Janowicza

mam już gdzie pomieścić, a muszę wszystkiego skosztować»).

W jednym z wywiadów Aleksander Jurewicz przyznał: «Chciałbym zostawić jakiś ślad po moich bliskich, po mnie samym, po wspólnym losie przesiedleńców, po naszym wspólnym losie». Takim śladem zostały jego utwory wykraczające poza ramy zwykłych książek «wspomnieniowych». Chociaż sam autor stwierdzał, że raczej powinny «znaleźć się na półkach pod hasłem: literatura przygnębiająca».

Przygnębiająca, ponieważ nieustanne wspomnienie małej ojczyzny, którą się nadal żyje na co dzień, lecz której już nie ma i nie będzie, jest moralnie uciążliwe. To jak rozdrapywanie gojącej się rany. To szukanie swego miejsca w nowej, niech i kilkudziesięcioletniej już rzeczywistości, i jednak ciągłe gubienie się w niej. Kolejny paradoks: będąc ciałem w zupełnie innym otoczeniu, duszą tkwić w tamtym świecie, z którego zbieg losu wyrwał na zawsze.

Urodzony w Pińsku Ryszard Kapuściński, który zwiedził sporą część świata, zwierzył się w jednym z wywiadów: «Jestem w ogóle wykorzenionym człowiekiem». Jego mała ojczyzna, zarówno jak Tadeusza Konwickiego czy Aleksandra Jurewicza, także pozostała już tylko w pamięci.

Ryszard Kapuściński wyznawał: «Jestem z Polesia, takiej bardzo dziwnej społeczności, która już nie istnieje, zniknęła», nazywając swą małą ojczyznę «przedwojenną Afryką Polski» i podkreślając bardzo mocne do niej przywiązanie. Mimo że rodzinny Pińsk jeden z największych polskich reportażystów opuścił podczas wojny jako małe dziecko, to jednak nawet w latach 90. podkreślał: «Ten temat jest we mnie». Czytając jego relacje z podróży, można odnieść wrażenie, że nieustannie jeżdżąc po świecie, szukał między innymi siebie, że te wyprawy były swoistym poszukiwaniem tożsamości, poszukiwaniem człowieka nieumiejącego się odnaleźć w monokulturze dzisiejszej babilońskiej rzeczywistości.

Niezwykle ważne jest, by nasze małe ojczyzny nie pozostały tylko Mickiewiczowskim westchnieniem do «kraju lat dziecinnych». Sokrat Janowicz uprzedzał: «Mała ojczyzna jest ideologią własnej pracy i pieniędzy. Warunki na jej odrodzenie nie będą trwały wiecznie. Przejmując rolę dobrze opłacanej pokojówki dla spragnionych łona natury wielkomieszczuchów, zatraci swą tożsamość, a zatem i duchową potrzebę samodzielnego istnienia.[…] Po małej ojczyźnie nie pozostaną wówczas nawet wspomnienia».

Owa przestroga jest nader ważna. Mała ojczyzna nie jest czymś wyłącznie symbolicznym: jest tym fundamentem, na którym się wznosi osobowość człowieka; korzeniami, które trzymają go mocno przy ziemi; wewnętrznym trzonem, nie pozwalającym zbłądzić we współczesnym, tylko z pozorów kalejdoskopowym, świecie. Jest naszą ostoją, mimo swych paradoksów i niepozorności.

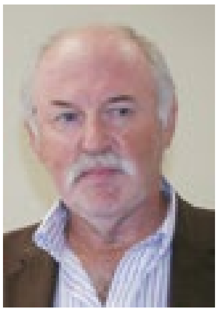
Ryszard Kapuściński podkreślał: «Za wyrwanie się ze swojej kultury płaci się wysoką cenę. Dlatego tak ważne jest posiadanie własnej, wyraźnej tożsamości, poczucie jej siły, wartości dojrzałości. Tylko wówczas człowiek może śmiało konfrontować się z inną kulturą. W przeciwnym wypadku będzie się chować w swojej kryjówce, bojaźliwie odgradzając się od innych».

Kryński Sokrat wtóruje mu: «Odżegnując się od najpierwszej pamięci, popada się w kompleks sierocości, skąd bliziutko do janczarstwa duchowego, wykorzenienia i zagubienia na obszarach życia» ■



Ołtarz główny w Kościele Mariackim

Wit Stwosz: Kraków i Norymberga



Piotr JAROSZYŃSKI

Na jednym z obrazów Jana Matejki widać starca prowadzonego za rękę przez młodą dziewczynę. Starzec ma oczy zamknięte, twarz skupioną, nieomal mistyczną, a na obu policzkach niewielkie blizny. Obraz przedstawia twórcę największego i jednego z najpiękniejszych w późnym średniowieczu ołtarza. To Wit Stwosz.

Nie był Polakiem. Pochodził prawdopodobnie z rodziny szwajcarskiej. Przyszedł na świat niedaleko Norymbergii, gdzie kształcił się, rozpoczął pracę i zdobył tytuł mistrzowski. Potem wyjechał do Krakowa, gdzie w Kościele Mariackim pozostawił nam ów niewiarygodnie piękny ołtarz Wniebowzięcie Maryi Panny.

Skąd wzięły się blizny na policzkach? Wit Stwosz po powrocie do Norymbergii pożyczył dość dużą sumę pieniędzy pewnemu przedsiębiorcy, którego polecił znany mu jeszcze z Krakowa Jakub Boner. Ale Boner wiedział, że jest to oszust, który już jego wcześniej oszukał, sądził jednak, że z pożyczonych od Stwosza pieniędzy odzyska swój dług. Gdy spekulant uciekł z Norymbergii, Mistrz zorientował się w mechanizmie oszustwa i że głównym winowajcą jest Boner. Wtedy wypisał weksel, podrabiając podpis Bonera i pieczęć. Podróbka była doskonała. Ale Boner oskarżył Stwosza o oszustwo, bo wiedział, że weksla takiego nigdy nie wystawiał. Za podrobienie weksla groziła wówczas nawet kara śmierci.

Koniec końców Mistrz został uwięziony, w czasie zeznań poddano go torturom, a na policzkach wypalono znamiona na znak hańby. Podobno jednak wszystkie kary starano się wykonać jak najdelikatniej (jak zaświadcza ówczesna Kronika: «nigdy jeszcze nikogo nie przypalano tak łagodnie»), tak że nawet blizny na policzkach zostały w całości wyleczone, i to na koszt miasta. Ale opinię Wit miał już zszarganą, a ponadto nie wolno mu było opuszczać miasta. Ale uciekł do leżącego nieopodal Würzburga, by po roku wrócić jednak do Norymbergii. Za karę znowu zamknięto go do więzienia, tym razem na cztery tygodnie. Wkrótce cesarz Maksymilian uchylił wyrok Rady Miejskiej, choć ta wcale nie śpieszyła się z upublicznieniem



RZEŹBA WITA STWOSZA W KOŚCIELE ŚW. WAWRZYŃCA W NORYMBERDZE

cesarskiej decyzji. Cała ta afera odbiła się na pozycji zawodowej Mistrza Stwosza, którego warsztat opustoszał. Tworzył dalej sam (Z. Kępiński, Wit Stwosz, Warszawa 1981, s. 70).

Dzieła Wita Stwosza są nie tylko piękne, one są olśniewająco piękne. Strzelają jak płomień ponad setki ołtarzy i rzeźb, które możemy oglądać w kościołach gotyckich, a w których, zwłaszcza laikowi, trudno dopatrzeć się jakiegoś indywidualnego piętna. W postaciach wyrzeźbionych przez Stwosza jest jakaś głęboka dramaturgia, są ludzkie przeżycia, nie udawane i nie schematyczne. Nie tylko twarz, ale zdawałoby się, że nade wszystko duszę, której przecież w drewnie nie ma!, przenika cierpienie, modlitwa lub radość. Takich stanów sam musiał doświadczać, a tragedia moralna, jaka mu przypadła w udziale, pokazała, że nie jest trudno wpaść w pułapkę zastawioną przez zło. Paradoksalnie, te przejścia zwiększyły jeszcze jego artystyczną wrażliwość. Pytałem więc, jak wyglądają późniejsze dzieła Mistrza?

Norymberga jest dziś jednym z bardziej urokliwych miast niemieckich. Po wojennych zniszczeniach odbudowano wszystko, co tylko się dało, a na swoje miejsce powróciły ocalałe dzieła sztuki, w tym również dzieła Wita Stwosza. Paradoksalnie, dzieła te tak mocno związane z katolicyzmem, znajdują się obecnie w dwóch kościołach należących do protestantów. Są to kościoły gotyckie, nie «wyczyszczone» z figur i obrazów jak wiele kościołów przejętych przez protestantów choćby w Niderlandach.

W kościele św. Sebauda znajduje się kamienny relief ukazujący trzy sceny z Nowego Testamentu: modlitwa na Górze Oliwnej, pocałunek Judasza, ostatnia wieczerza (1499). Jest też scena ukrzyżowania, po lewej stoi Matka Boska, po prawej św. Jan (1507). Ma się wrażenie, że pozostałe dzieła sztuki innych mistrzów, których w kościele nie brak, są tylko tłem, pozbawionym tej tak mocnej sugestii i życia, jakie posiadają postacie Wita Stwosza. Postacie Stwosza są też niezwykle zindywidualizowane, tak jakby faktycznie wynajdywał je na ulicy i kazał brać udział w wydarzeniach o wymiarach eschatologicznych. To wszystko sprawia, że wzrok nie chce się oderwać, lecz zanurza się coraz mocniej i mocniej. Rankiem w majowy zimny poniedziałek nie ma turystów, panuje całkowita cisza, różnobarwne promienie słońca przepuszczone przez witraże malują z wielkim taktem ściany świątyni.

W kościele św. Wawrzyńca inne cudo. To Zwiastowanie (1518). Całość ma kształt bogato zdobionego złotego medalika. Centralne postacie to stojący z jednej strony Anioł, na głowie mały krzyżyk, z drugiej Madonna, na głowie biały gołąb wzbija się do lotu. Anioł wyprostowanym palcem prawej ręki wskazuje na niebo, Madonna prawą dłoń przykłada do piersi. Na samej górze króluje postać Boga Ojca w geście błogosławieństwa.

Dzieło jest tak misternie wyrzeźbione, jakby najdrobniejszy szczegół, każdy wręcz milimetr przeszedł przez myśl, serce i rękę Mistrza. Nie widać tu ludzkich, przyziemnych uczuć, atmosfera jest niebiańska. Patrzymy wznosząc głowę do góry, bo ów medalion jest zawieszony dość wysoko. Nie jest wcale mały, bo liczy 4 lub 5 metrów. Ale subtelność wykonania sprawia, jakby to była porcelana, krucha, drobna i delikatna.

Na cmentarzu św. Jana znajduje się skromny grób mistrza. Obok spoczywa jego rówieśnik, równie genialny, Albrecht Dürer. Przeminęło życie, i te drobne, koniec końców niewiele znaczące ludzkie sprawy, konflikty, słabości. Zostały arcydzieła, też kruche, ale jakże piękne ■

Polacy na Ukrainie coraz bardziej świadomi swoich praw

Rozmowa z dyrektorem Domu Polskiego w Kijowie Marią Siwko



Leszek WĄTRÓBSKI

MARIA SIWKO, DYREKTOR DOMU POLSKIEGO W KIJOWIE

Biuro i pokoje «Domu Polskiego» znajdują się w samym śródmieściu Kijowa.

– Nasze biuro należy do Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, otrzymaliśmy go dzięki wsparciu finansowemu Senatu RP. Dużą pomoc organizacyjną okazał nam również Konsulat Generalny i Ambasada RP w Kijowie. Po uzyskaniu tego lokalu Zarząd naszej Federacji zadecydował, że powinna w nim być prowadzona także nauka języka polskiego oraz szeroka działalność organizacyjna.

Wasza Federacja powstała we Lwowie.

– 26 października 1991 roku na spotkaniu środowisk polskich z całej Ukrainy. Rozmawialiśmy wówczas o możliwości utworzenia organizacji polskiej o zasięgu ogólnokrajowym. Komunikat końcowy ze spotkania głosił m. in. «My, Polacy zebrani dzisiaj we Lwowie, powołując komisję organizacyjną i statutową wyrażamy wolę utworzenia Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie».

24 lipca następnego roku został prawnie zarejestrowany statut Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, a 5 stycznia 1993 roku w Kijowie odbył się I Sejmik naszej Federacji, zrzeszającej wówczas 22 organizacje członkowskie. Dzisiaj jest ich 138 i blisko 19 tys. członków.

Czym zajmuje się Wasza Federacja?

– Organizujemy zjazdy, konferencje naukowe, spotkania młodzieżowe, seminaria, kursy, festyny regionalne, warsztaty szkoleniowe i artystyczne, festiwale i konkursy, imprezy sportowe, które sprzyjają zwiększeniu aktywności społecznej Polaków mieszkających na Ukrainie. Dzięki staraniom Federacji powstały Zjednoczenie Nauczycielstwa Polskiego na Ukrainie, organizacje młodzieżowe, kombatanckie, organizacje opieki nad miejscami pamięci narodowej itp.

Polacy w okresie minionych lat bardziej świadomie i odważnie zaczęli korzystać z przysługujących im, jako mniejszości narodowej, praw w państwie ukraińskim. Jest to ogromny postęp w aktywizacji świadomości społecznej obywateli Ukrainy narodowości polskiej.

Organizacja nasza aktywnie

uczestniczy też w nawiązaniu partnerskich stosunków pomiędzy samorządami Ukrainy i Polski, uważając, iż właśnie tego rodzaju współdziałanie sprzyja zbliżeniu polsko-ukraińskiemu. Od wielu lat Federację łączy współpraca ze Związkiem Ukraińców w Polsce.

Nasza Federacja jest ponadto stałym członkiem Ukraińsko-Polskiego Forum, członkiem Rady Polonii Świata, członkiem Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych. Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie Emilia Chmielowa jest wiceprzewodniczącą Rady Polonii Świata, członkiem Rady Przedstawicieli Państwowego Komitetu ds. Narodowości Ukrainy, członkiem Polonijnej Rady Konsultacyjnej przy Urzędzie Marszałka Senatu RP.

Wróćmy do «Domu Polskiego» w Kijowie.

– Została tu założona szkoła sobotnia, w której uczą się dzieci w wieku od 9 do 13 lat i prowadzone są kursy języka polskiego, prowadzone w grupach mieszanych, dla młodzieży w wieku od 14 lat.

Kursy języka polskiego prowadzone są na trzech poziomach i trwają 3 lata. Prowadzą je nauczycielki, które swoje studia skończyły w Polsce. Zdecydowana większość naszych słuchaczy jest pochodzenia polskiego. Nie odrzucamy też innych, którzy chcą poznać język polski oraz naszą historię i kulturę. Uczniowie polskiego pochodzenia uczą się języka ojczystego, aby zdać egzamin na Kartę Polaka, a potem wyjechać na studia do Polski.

Ilu Polaków mieszka w Kijowie?

– Konkretnej ilości nikt nie zna. Ostatni oficjalny spis ludności wykazał 10 tysięcy Polaków. Pewnie jest ich, tak naprawdę, dużo więcej. Nie wszyscy bowiem chętnie przyznawali się do swoich korzeni. Niektórzy nadal to ukrywają. Deklarowanie swoich narodowych korzeni zależy dziś wyłącznie od indywidualnej decyzji. Uważam, że żaden prawdziwy Polak nie będzie chciał ukrywać swojego pochodzenia, lecz przeciwnie, będzie się nim szczycił.

Ile osób pracuje obecnie w Domu Polskim?

– Jest tu pięciu nauczycieli, jest zarząd z prezesem – czyli ze mną. Wszyscy pracujemy społecznie. Języka polskiego uczyło się u nas, w minionym roku 520 osób. Zajęcia językowe rozpoczynamy 1 września, a kończymy 31 maja. Odbywają się one 2 razy w tygodniu i trwają godzinę i 20 minut i rozpoczynają się rano. Mieliśmy też dodatkowo 80 dzieci w szkole sobotniej.



Leszek WĄTRÓBSKI

Pani jest dyrektorem «Domu Polskiego».

– Jestem też współzałożycielem i członkiem zarządu głównego Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie od ponad 20 lat. W Kijowie mieszkam od czasów studiów. Z zawodu jestem ekonomistą. Pracowałam przez 24 lata w ministerstwie budownictwa jako główny ekonomista i społecznie w Federacji.

Jak się mieszka Polakom w Kijowie, na Ukrainie?

– Tu się urodziliśmy. Ukraina to nasza ojczyzna. Tu się też uczyliśmy, skończyliśmy studia, dostaliśmy pracę, tu płacą nam emeryturę. Może i ciężko nam się tu żyje, ale my na to żadnego wpływu nie mamy. Możemy jedynie liczyć na lepsze czasy.

A jaki jest dziś stosunek Ukraińców do Polaków?

– Przychodzą tu do nas wszyscy: Ukraińcy i Rosjanie. Nie mamy przecież czego dzielić. Żyjemy w jednym państwie – razem z dziesiątkami innych narodowości, z którymi trzeba współdziałać.

A co z wojną? Czy ją tu się czuje?

– Nie można powiedzieć, że tu się jej nie czuje. Giną przecież nasze dzieci i dzieci naszych znajomych. W tej wojnie giną nasi najwięksi patrioci. Sytuacja na Ukrainie jest naprawdę trudna. Putin twierdził, że tu Rosjanom dzieje się krzywda. A tak wcale nie było i nadal nie jest. Hitler też chciał zdobyć cały świat. I jak skończył?

Żyjemy tu w ciągłym strachu. To nie jest tak, że ja mieszkam w Kijowie i cieszę się z tego, że Putin jeszcze tu nie doszedł. Jesteśmy natomiast dumni z naszego prezydenta Poroszenki, który robi wszystko, rozmawiając ze wszystkimi, aby nam pomogli.

Rozmawiał
Leszek WĄTRÓBSKI



Bernard Pakulnicki

Samotny krzyż w polu na skrzyżowaniu dróg w okolicach Iszkołdzi



Bernard Pakulnicki

W byłym parku Narkiewicza-Jodki w okolicach źródeł Niemna

